Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

PAN MICHAŁ.

Wspomnienie myśliwskie

przez

Kazimierza hr. Wodzickiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Polowanie z kundysami doborowymi na odyńce, to rozkosz nie do opisania; każdy myśliwy ją odczuje, wszakże wrażenia drugim udzielić nie zdoła. Krocie niespodzianek, połączonych z nieprzełamanemi trudnościami i niepospolitemi dokuczliwościami, mieni się w oczach, gdy nad śnieżną powłoką słońce wytwarza krocie brylantów; z pod powiek cisną się łzy, suchość gorączkowa opanowuje gardło, myśl zaś powtarza: dojdę, czy nie dojdę, uratuję sobaki, czy je pomszczę, wszakże być muszę przy zgonie psich rycerzy. Psom oczy wydobywające się z dołków, pełne trwogi a zajadłości, wargi podniesione, zęby świecące, warujące, to znowu przyskakujące i szarpiące, a wpatrujące się bez przerwy w dzika... Zręczność skoków, gimnastyka w unikaniu cięcia, te stopnie przebiegłości i rozumu oraz ostrożności i natarczywości, odrębne i każdemu psu właściwe — to warte studyów i w pamięci pozostaną na całe życie. Dzik zaś stoi nieruchomy, nogami przebiera i tupie, ryjem mamli, zakrwawionym wzrokiem upatruje kiedy i którego psa najłatwiej zgładzić, szurga w jędną to w drugą stronę z szybkością lokomotywy, naciera na psy, kierując kieł ku słabiznom. Gdy zaś uczuje znaki zębów na szynkach, zaraz szuka oparcia i zabezpieczenia zadu, lub też goni do gąszczów, gdzie mu najłatwiej psy wyciąć. Ogonek jak u mopsów, w obwarzanek zwinięty i podniesiony, wzrok zakrwawiony, w ryju na wpół otwartym kłębująca piana, pękająca w bańki — i w tej postaci posuwa się dalej coraz złośliwszy i niebezpieczniejszy. Wtedy to bez lasowego zakrycia zbliżyć się nie można do rozbestwionego zwierza, uderzającego pędem błyskawicy niespodziewanie na myśliwego, bo przed tym pędem nikt się nie uchroni na krótkiem oddaleniu. Dzik dokładnie wyrozumował, że życie jego nie zależy od czworonożnych, lecz od człowieka, to też w najkrwawszej walce porzuca psy i pędzi na myśliwego.

Zaiste, pióro silną wolą wstrzymać muszę, aby nie kreślić krocie dramatycznych obrazów, zarytych w pamięci,

gdyż niemal z każdym dzikiem odbywała się odmienna awantura w górach.

Trójka kundysów pana Michała była nieporównanej doskonałości, waleczności i obdarzona znakomitym wiatrem. Nawet na czarnej stopie z pewnością nie zostawiły dzika w kniei, z mordami do góry, szybko przeszukiwały gąszcze, debry i młaki; to też polowanie niebawem się rozpoczynało. Ilustracyą tej psiarni był nieoszacowany „Kasper“. Dlaczego się „Kasprem“ nazywał, nikt wyjaśnić nie mógł, nawet sam pan Michał. Pies ten żył i zginął jako „Kasper“. Szkaradne to było psisko: popielate z czarnemi łatami, jedno ucho i oko białe, drugie czarne, kusy od urodzenia, z siercią twardą, szczecinowatą. Złe psisko, warczące i mruczące ustawicznie, a kąsające przy sposobności. Gdy na pierwszy widok nie mogłem wstrzymać wyrazów obrzydzenia, pan Michał łagodnie mi odpowiedział: „Będziesz go pan widział w boju.“

Kasper był uosobionym rozumem myśliwskim. Wszystko wiedział, co mu potrzeba było do wypełnienia przyjętych obowiązków; z nieporównaną pamięcią do odkrywania barłogów i legowisk, w krótkim czasie obiegał obszerne rewiry, a gdy nic nie zwietrzył, powracał pędem do swego pana i patrząc w oczy jak gdyby mówił: „Chodźmy dalej, tu nic nie ma“ — szedł za nogą bez łańcucha do drugiego miotu. Tropowca nie używano, bo tam każdy pies był tropowcem, lecz najczęściej piskliwy głos Kaspra oznajmiał, że to on wyszukał barłog.

Psy milczkiem zbliżały się do barłogów, i najczęściej przed powstaniem przytrzymały dzika; to też wiele psów młodszych ginęło bez żadnej pogoni. Psy uznawały Kaspra za naczelnika, a Grześ go nazywał profesorem, to też głos Kaspra był apelem dla wszystkich. Ta psia szkarada zręcznie i podstępnie łapała za tylną nogę, potem z szynek wyrywała kawałkami mięso i uciekała ze zwinnością nieporównaną. W czasie długoletniej służby otrzymał Kasper niemało cięć, lecz po skórze, rany nie musiał mieć, gdyż szramy upatrzeć nie można było. Nareszcie, straciwszy zęby i potrzebną zwinność, a nie zaniechawszy swych zwyczajów, zginął na kle odyńca.

Kasper był wiernym stróżem zwierzyny i w jego obecności żaden pies nie śmiał jej ruszyć, a gdy się przypadkowo pojawiły psy owczarskie, to je straszliwie turbował, a niekiedy na śmierć zagryzał. Gdy mu kazano przez noc pilnować pozostawionej zwierzyny, to nocował do rana nie ruszając jej, byle był nakarmiony, co załatwiano na prędce patrochami i owsianemi plackami. Miał też zwyczaj kroczyć za ciągnionym zwierzem z wielką uwagą, a gdy się co oberwało, lub zwierz się zawiesił na pniaku lub sterczącym kamieniu, wtedy siadał i poczynał wyć.

Drugi pies pamiątkowy był „Łoskot“, zaiste rycerz bez trwogi, obcesowy i nieostrożny, dufny w swą siłę i zręczność. Srogo w życiu za to pokutował; nie wiem, czy na całem jego ciele było cztery cale bez szramu, nawet nogi miał pocięte, co mu utrudniało ucieczkę. Był to duży pies, silnie zbudowany, z wypukłemi, rozumnemi oczami, z mordą czarną i nader łagodnym charakterem, lgnący do ludzi i ceniący pieszczoty. Na dzika i niedźwiedzia zajadły i impetyczny, miał niestety tę wadę, że dzika zawsze z przodu atakował i za ryło chwytał. Gdy zaciął zęby w ucho, to już nie popuścił; dzik pruł po gąszczach, tłukł nim o drzewa w kijastym lesie, a Łoskot wisiał jak pijawka. Wzięty przez niego, musiał więc dzik zginąć w krótkim czasie. Widzieliśmy cuda jego waleczności z odyńcami i niedźwiedziami. Psiego rycerza przynoszono też z lasu do domu lub koliby na marach, lecz te rany ostrożności go nie nauczyły. Warto było patrzeć na tę miłą sobakę, wdzięczną za ratunek, gdy jej Grześ skórę zaszywał i arniką rany zalewał.

„Zagraj“, rosły ogar podżary, mądry, ostrożny i przebiegły, doskonale rozróżniał odyńca od innych dzików. Gdy więc w gąszczu nie brał dzika, lecz z oddalenia naszczekiwał, wtedy wiedzieliśmy, że polujemy na groźnego pojedynka, ale też jak spotkał warchlaki, nawet spore, dusił je jak zające. Na jednem polowaniu dużą samurę rozciągnęły te psy i na śmierć zagryzły.

Jeszcze służył w tej wojnie „Spiewak“, dobry i odważny pies, wszakże nieco za hałaśliwy.

Już powyżej wspomniałem o faworytalnym psie pana Michała, „Bekasie“, nieodstępnym jego towarzyszu. Był to wyżeł kurlandzkiej rasy, wysoko na nogach osadzony, chodzący kłusem, z robakiem w uszach, któremi ustawicznie trzepał, śliniący się i wydający niemiłą woń. Wstręt wzbudzał we mnie ten pies, a nawet pan Michał uważał go jako nieprzyjemnego współmieszkańca, lecz miał on niepospolite zasługi, gdyż uratował swemu panu życie, raz przed kłem odyńca, drugi raz przed łapami niedźwiedzia. Bekas był nieodstępnym towarzyszem na polowaniu, siedział na zadnich łapach nieruchomy, istny sfinks. Gdy psy naszczekiwały, on w oczy swego pana patrzył, czy można im dopomódz, wszakże bez pozwolenia z miejsca się nie ruszył. Dopiero po otrzymanem pozwoleniu pędził do bojowników, walecznie im dopomagał, nie odniosłszy nigdy szwanku. Wiatr miał nadzwyczaj ostry. Pan Michał mawiał, że gdyby choć jeden dubelt był w stepie, toby go Bekas wyszukał. Aportował doskonale i niekiedy doduszonego zająca o pół mili przynosił; za postrzelonym nie poszedł, jeśli się przekonał, że farby nie ma. Gdy pan Michał podkradał się do siedzących ptaków, Bekas pełzał za nim jak wąż.

Niedowierzający czytelnik powie z ironią, że pan Michał posiadał same osobliwości, lecz rzeczywiście tak było. I jamniki były osobliwościami, których po raz drugi nie napotkałem już w życiu. „Mrówka“, wielkości szczenięcia lub dużego szczura, wyparowywała każdego lisa z jamy. Czarna, podżara, z aksamitnym włosem, pieszczotka w pokoju, wściekła przy zwierzu. Jej nieodłączny towarzysz i pomocnik był kasztanowaty rosły jamnik „Nurek“. Tymi dwoma jamniczkami polował pan Michał po całem Podolu, od grudnia do kwietnia na lisy; miewał corocznie w zdobyczy do stu skórek i mawiał, że wartość tych skórek starczy mu na utrzymanie psiarni i koni, co w tamtych czasach nie było trudnem, gdyż korzec owsa wart był najwyżej 75 centów, a pamiętam rok, w którym płaciłem za korzec cwancygiera, czyli 35 centów. Na śniegu te psięta tonęły i nie można było z niemi polować, lecz na kopniu znakomicie atakowały dzika. Odyniec, zniecierpliwiony prześladowaniem tych karłów, szurgał za niemi, lecz nie było za co kłem zaczepić, to też był pocieszny widok, gdy dzik z otwartem ryłem gonił za jamnikami, nie mogąc żadnego złapać. Mrówka zwinna, pomiędzy nogami odyńca się uwijała, i nigdy dotkniętą nie była, Nurek zaś, podstępnie ukąsiwszy w nogę, co mógł wyrwać uciekał. Dziki, widząc mikroskopijnych prześladowców, z miotu nie wychodziły, więc gdy była ostrożna cierpliwość i celne strzały, każdy ginął.

Aby ocenić cnoty i zalety tej parki jamników, opiszę poniżej polowanie na lisy, zaiste wyjątkowe i nader zajmujące, lecz pierwej muszę uzupełnić tabor, z jakim pan Michał w góry jeździł. Posiadał on nieoszacowaną kuckę,

z której w nagłej potrzebie strzelał, a nawet dublował. Śliczne to było stworzenie, ogon, grzywa i nogi kasztanowate, maści srebrno dereszowatej, mała, ledwie 13 miary, szeroka w piersiach i w zadzie, siły nieobliczonej, z kopytkami okrągłemi i drobnemi, niby od zebry pożyczonemi, nogi czyste i gdyby ze stali wylane; nigdy nie utykała na kamieniach, pniakach lub wśród łomów.

Przygotowany jestem na wykrzyknik zniecierpliwionego czytelnika, że opisuję jeszcze jednę osobliwość. Lecz tak jest. Nie spotkałem w mem życiu drugiej „Dereszki“, z tym rozumem, charakterem, siłą i wytrwałością. Nosiła pana Michała z wagą 150 funtów wiedeńskich, nosiła swój obrok i prowianty ludzi i psów, podwójne troki, zwiniętą szlę z hakami, którą spuszczano do ciągnięcia ubitego dzika użewką lub sznurem; w razie ubicia sarny, troczono takową po za siodłem, do tego jeszcze nosiła kociołek, rondel i samowarek. Jedynie potwory dzicze zostawiano pod opieką Kaspra w lesie przez noc. Dereszka wesoło to wszystko nosiła i ciągnęła, rżała i lansadowała, biegając cwałem, jak pies wokoło naszego towarzystwa. Pasła się przez cały dzień posuwając się za nami, czekała zawołania, aby przyjąć trenzlę i ładunek, jak wielbłąd na puszczy. Gdy nad wieczorem trąbiono, Dereszka pędem przybiegała i rżała oznajmiając, że się na apel stawiła. Inny byłby mnie zrujnował, sprzedając mi te psy i Dereszkę, gdyż byłbym mu zapłacił neapolitańskie sumy, ale z panem Michałem nie mogło być o tem mowy. U niego koń wypróbowany a pies doborowy, to były relikwie, nieprzystępne dla obcego. Raz mi mówił:

— Czy pan myślisz, że ja kieruję Dereszką? Nigdy! Ona wie, gdzie iść wypada, a do naszczekujących psów spieszy się i zawsze mnie do strzału doprowadzi.

Pan Michał z czterema kundysami, kucką, Bekasem i nieodstępnym Grzesiem, niekiedy na cały tydzień w góry się wybierał i często w kolibach i szałasach noce przebywał. W czasie słotnym mieszkał u leśniczych lub zamożnych gazdów, a wszędzie jako miły i hojny doznawał życzliwego przyjęcia, tem więcej, że karmił ubitą zwierzyną. Jak marynarz na oceanie, tak pan Michał na tej okiem niezmierzonej przestrzeni cudownym instynktem drogę wybierał, rzadko kiedy błądził i na czas dobijał do domu. Nieraz po zachodzie słońca, gdyśmy się zapędzili pod połoniny, markotno mi się robiło, gdy było chłodno i głodno, a ja nie wiedziałem, gdzie mnie nogi zaniosły; ale pan Michał bez wahania szurował przedemną. Istny to był anachoreta. Po największych wysilenich nigdy drugiego kieliszka wódki czy wina nie wypijał, obojętny zupełnie na jadło, a posiadał sekreta sztuki kucharskiej. Zjadaliśmy rosoły z głuszców i jarząbków, kotlety, zrazy i bigosy ze zwierzyny, i dopóty tak żyli, dopóki słota nas nie wypędziła, lub brak prowiantów. Zwierzynę rozdawał między właścicieli, leśniczych i chłopów, wszakże nieraz więcej padło, niżeli spożytkować można było, i wtedy to zostawiano zwierzynę w lesie, czego się pan Michał bardzo wstydził. Działo się to przeważnie z warchlakami, duszonemi znakomicie przez kundysy, i często cała ich rodzina padała ofiarą. O ile mógł, nie zapuszczał swych zagonów do ostępów, w których mogły być jelenie. Twierdząc, że to madziary u nas czasowo przebywające, tak mawiał:

— Taki jeleń pokręci psami, potem się wysforuje na Węgry i ja na psy czekać muszę przez kilka dni i szczęśliwy jestem, gdy nawrócą, bo tam kradną psy i przechowują, a szukającemu za niemi z pewnością nie dadzą wskazówek, o czem się Grześ nieraz przekonał, bo go nawet okłamywano, prawiąc o dalekiej pogoni, podczas gdy psy były pod dachem. Mówią u nas, że Węgier to nasz „bratanek“. Tak jest, bratanek, póki nas może wyzyskiwać lub z nami się bawić, lecz on butny, chciwy i w sobkowstwie zatopiony. Kiszki by pruł, gdyby przypuszczał, że tam znajdzie dukaty. Szczerze wyznaję, że ich nie lubię, boję się zdrady i niedowierzam żadnemu. Mam pozwolenie polowania na Węgrzech, na znacznych przestrzeniach z dobrym zwierzostanem, a przecież na nich nie poluję, przekonany, iżbym bez psów powracał.

Półgłosem dodawał:

— To panie przez połowę Tatarzy, a przez połowę Cyganie. Czegóż ja się po nich mam spodziewać? Bogaty to kraj, waleczny naród, znający swe prawa, lecz ludności mało, bo oni nie są płodni, a Słoweńców toby gotowali i zjadali, tak ich nienawidzą, już to dlatego, że miewają liczne potomstwo, już, że liczebnie przewyższają madziarów. Odbędzie się tam kiedyś krwawe starcie za ucisk doznawany.

IV.

Wiernie tu opisuję opowiadanie pana Michała, a przytem dowód złożę, że jamniki były doskonałością w tym gatunku i dla mnie unikatami, gdyż ani pierwej ani po jego śmierci podobnych pijawek nie spotkałem u nikogo.

— Tak panie hrabio - opowiadał pan Michał — w pamięci przesuwają się epizody nie do uwierzenia, zaryte na całe życie, częstokroć najdziwniejsze niespodzianki dla myśliwego, nieodgadnięte tajemnice, w tym odrębnym świecie, w tej świątyni Dyany. Takie epizody, jako nasze zdobycze przechowywać obowiązani jesteśmy, bo w myśliwstwie dla badacza jest łańcuch nauki, z którego każde ogniwo przynosi nam pożytek.

Owóż zaproszono mnie z jamnikami w Czortkowskie, więc pojechałem tam w końcu lutego, pomimo srokatego pola. Zaiste dziwny to kraj i nie ma porównania z innemi okolicami Galicyi. Jedna część bogato chlebodajna, gdyby przez aniołów uprawiana, okolica miodem i mlekiem zalana, ziemia opłacająca z lichwą pracę ludzką, z wegetacyą prześcigająca się w bujności, z klimatem zbliżonym do włoskiego, z łagodnemi zimami, z melonami, kawonami, dyniami i szparagami, z łanami szeroko liściastego tytuniu, ubarwiającemi świeżą zielonością i wdzięcznym kwiatem bezleśny krajobraz, z ludem ciężkim, leniwym, rzeczywiście usposobienia wschodnich mieszkańców, lecz łagodnym i spokojnym, z płcią zaiste nie piękną, lecz jaskrawo i barwiście ustrojoną, w czerwonych lub żółtych butach, ze słabym porostem włosów a ciemnej płci, bo to pozostałości po zagonach tatarskich, po których widać jeszcze kurhany i grobowce. Druga część, nie bez przyczyny nazwana Czortkowskie, z miastem Czortków, szatanami wyżłobiona, wyjałowiona, przestrzenie przeklęte, na niepłodność skazane, ciągnące się ku Bukowinie w pośród łanów rodzących bujną kukurudzę. — Białe pagórki i góry, poprute niezgłębionymi jarami, okazujące w wnętrzach najrozmaitsze gatunki kamieni, bryły marmurów, odłamy alabastru, gipsowe pokłady, wapienne góry, zbudowane z białego, drobnego szutru, dna jarów wybrukowane olbrzymiemi kamieniami, siłą spadku wody wydobytemi i naniesionemi, a nawet mchem nie porastającemi, bo ubóstwo przyrody nie pozwala nawet mchu rosnąć i rozwijać się. Obraz ten przeraża i zasmuca widza. Czy to wynik zemsty złych duchów i walki z ludźmi cnotliwymi, czy też wstrząśnienia, siłą umysłu nie do objęcia — tradycya

nie podaje, lecz ten świat kamienny przedstawia obraz kary bożej, pobudza do marzeń i dumań, a pozostaje w pamięci na całe życie.

W nieznacznem znowu oddaleniu piętrzą się niby skały gładkie, a one złożone z ruchomych kamieni, z bliska zaś badane przedstawiają zbiór muszli morskich, naniesionych w ostatniej walce morza z ziemią. Innne parowy wśród olbrzymich ścian zarośnięte żółto-zieloną trawą jałową i zwierzętom niepożyteczną, rosnącą kępami, przedstawiającą nędzę pod inną podstacią. Ni kwiatka, ni ptaszka nie ujrzysz tu, nawet owady stronią od tej pustyni. Po tych ścianach nie łatwo chodzić z powodu usuwających się z pod nóg kamieni i szutru, a upadnięcie kaleczy kolana i drze suknie. Cóż dopiero za przykre bywają wypadki przy schodzeniu, gdy się na krzyże upada z niemożnością dźwignięcia się, a najczęściej z potarganą siedzibą...

Owóż w tych niedostępnych i od stworzeń opuszczonych jarach przemieszkują i mnożą się bezpiecznie lisy, na które zasiadki niebezpieczne, wykopanie i wykurzenie niemożliwe i nie ma sposobu polowania na nie, jak ze zręcznemi, zwinnemi i odważnemi jamnikami. Lecz i to przedstawia niemało niebezpieczeństw dla psów, gdyż bywają często zawalone lub zaduszone w kamiennych tych jamach.

Działo się to w dniu 24. lutego, gdy ciężkie chłopisko przywlokło się do mnie i obiecało wskazać wygodne jamy, bo trzeba wiedzieć, że w tych jamach bywają krocie kryjówek dla lisów i to dosyć głębokich; nie znając więc dokładnie jam, można męczyć psy i siebie i nie zastać żadnego lisa w domu. Pole było srokate, śnieg wodnisty, wszakże wskazujący tropy. Słońce już przygrzewało. Drapaliśmy się chodem mozolnym na ścianę jaru. Potomek Tatarów wskazał milcząco płytę kamienną i odszedł, a gdyśmy przystąpili do jamy, spostrzegliśmy ślad wchodowy lisa.

Co nas niepospolicie zadziwiło, to wielka liczba tropów przed jamą, wskazujących na odbyte walki lub igrzyska. Ledwieśmy do otworu przystąpili, już doświadczona Mrówka naszczurzyła uszy, i poczynała niespokojnie wietrzyć, a Nurek skomleniem dawał do zrozumienia, że mu pilno wsunąć się do jamy. Puszczono więc psy i te w okamgnieniu znikły z oczów. Stanąłem opodal, bo tu do strzału nic nie przeszkadzało, ani krzaczek, ni drzewko, ni kamień. Niebawem słyszę pod sobą na rozległej przestrzeni ujadanie psów; widocznem było, że wywodna jama wielce obszerna, a kocioł głęboko umieszczony. Lecz moje medytacye przerwał wymykający się lis: strzelam i pada zwierz, lecz psy nie wychodzą, widocznie walczą z liszką, więc nie śmiem strzelby nabijać. Stoję znowu chwilkę w pogotowiu i widzę mordeczkę i czarny nosek wychylającego się z jamy zbrodniarza, nie patrzącego na mnie. Strzelam w ten nos i wytacza się ogromna pomarańczowa lisiura, wszakże znowu bez jamników ujadających w podziemiu.

Widocznie sproszono znaczną ilość gości na to wesele i w jamie musi być jeszcze liszka; nie pozostaje mi więc nic innego dla zabezpieczenia mych łowów, jak zdjąć lisiurkę i zatkać nią jednę jamę, na drugiej zaś usiąść i nabijać strzelbę. Ledwie się dźwignąłem po nabiciu, wysuwa się lis trzeci i pędem ucieka, wszakże mym śrótem zlokalizowanym został; patrząc zaś za przewracającym się zwierzem, prześlepiłem lisa, biegnącego tuż koło mnie i w mem rozgorączkowaniu chybiam go, strzeliwszy sobie pod nogi. Zatykam więc znowu lisiurką jamę, wpychając głęboko rękawy, siadam na drugim otworze i nabijam ponownie strzelbę. Wtem tuż pod sobą słyszę naszczekiwanie i ujadanie, a czuję zarazem szturkanie w część ciała, którą trudno bliżej określić. Ba, czuję i pazurki dobierające się do mych spodni. Zaniepokoiłem się przypuszczając, że lis po łapkach użyje i zębów, a ja niewygodnie siedząc, spiesznie do strzału podnieść się nie jestem w stanie. Po chwili namysłu, wobec operacyi na mnie rozpoczętej, wspieram się na łokciach i w chwili stawania na nogi lis mi się wymyka, a ja się przewracam na to twarde łoże, usłane ze szpiczastych kamieni. Wszakże się szybko zrywam i strzelam jeszcze do lisa na odległość 80 kroków. Lis kitą machnął, chwilkę stanął kabłąkiem i wolnym galopkiem pobiegł dalej. A że mi nic na tym szerokim widokręgu nia zasłaniało zwierza, ścigałem go wzrokiem i zdawało mi się dopatrzeć, iż się schował pod skałę. Spiesznie obróciłem się do jamy, licząc na dalsze strzelanie w tym lisim zwierzyńcu, lecz niestety, zobaczyłem psy rozciągnięte, ciężko dychające, zmęczone nad siły i już żadnem szczuciem nie dające się zachęcić do powrotu do jamy. Znoszę więc moje trzy duże lisy, wszystko psy, a do tego i postrzelony musiał być samcem, sądząc po jego ogromnych rozmiarach. Skonkludowałem z tego, że liszka pozostała w jamie bezkarnie, ale psy już wejść po nią nie chciały. Napojono je w potoku i odświeżono, opatrzone ranki małe zalano arniką z wodą, dostały po kawałku słoniny i wesoło poszły za mną ku kryjówce postrzelonego lisa. Ale że to człowiek i przez sto lat nie nabędzie odpowiedniego rozumu i potrzebnej ostrożności, więc się to i teraz potwierdziło, gdyż nie zawaliwszy kamieniami otworów do jamy, mogłem wypuścić nieukaraną dotąd za swawolę liszkę.

Przybywszy na miejsce strzału, uradowany byłem widokiem włosków z futra lisiego na kamieniach, a dalej perełki farby świeżej. Z wysileniem dodrapałem się do kryjówki lisa, a psy, zwietrzywszy postrzelonego, z hałasem wpadły do jamy. Przez pół godziny słyszymy skomlenie i naszczekiwanie, a lisa z kryjówki wyprzeć nie mogą; oczywiście że sobie niebezpieczną sytuacyę dokładnie określił i w pole wyruszyć nie chciał. Zaniepokojony tą długotrwałą walką, wołam, świszczę i nareszcie trąbię, lecz psów wywołać nie mogę. Nareszcie widzę, co nie do uwierzenia, malutką Mróweczkę, jak ciągnie za ucho nieżywe już ogromne lisisko, a zdawało mi się, że Nurek z tyłu go popychał. Waleczne pieski pokonały starego, postrzelonego i rozjuszonego lisa po zajadłej walce. Batalia była wygrana, lecz zwycięzcy na mordach mocno pokaleczeni, więc o dalszem polowaniu mowy być nie mogło.

Oczywiście, przed zachodem słońca drugiego dnia udałem się do jamy, aby i liszki futro zabrać do domu, lecz próżne były moje usiłowania. Widocznie lisia kokietka wymknęła się po groźnem polowaniu i dalej bałamuci pozostałe lisy. Polowałem na lisy wyłącznie przez dwa tygodnie i przywiozłem do domu 24 prześliczne skórki. —

Takie było opowiadanie pana Michała.

Podobnego wesela lisiego byłem świadkiem w Krakowskiem. W jarze na polu, było w jamie trzy lisy i liszka, lecz nam nie poszło tak szczęśliwie jak panu Michałowi, a to z przyczyny, że lisy szybko jak z procy wyjeżdżały i zaledwie dwa zostały ubite.

Ta parka jamników przebywała najrozmaitsze koleje i niebezpieczeństwa i cudem ocalała, poszarpana na całem ciele.

Na wiosnę poszedł pan Michał kopać borsuki i oczywiście piesków z sobą nie brał do lasu, lecz ciekawa Mrówka porzuciła swe szczenięta i poczołgała za swym panem, przeczuwając polowanie. Fatalny to był dzień dla Mrówci,

gdy bowiem pan Michał kopał zapamiętale, suka wpadła do jamy i po chwili z głośnym lamentem wyczołgała się zbroczona krwią i z odgryzionem wymieniem. Szczenięta zginęły, matkę wyleczono, lecz już potomstwa nie wydała na świat. Namiętności do polowania nie straciła, ani też odwagi, lecz odtąd już do borsuczej jamy nie chodziła. Gdy dla próby i rozrywki prowadzono ją do takiej jamy, karykaturę psią przedstawiała; garbiąc się pociesznie, pełzając po ziemi, skomląc z ogonem między nogami, wyraźnie oświadczała, że woli zginąć, niż pójść do jamy borsuczej. Po wykopaniu borsuka przekonano się, że to była rozżarta samica z czworgiem borsucząt.

Głośnem było na Podolu, że pan Michał od lisa płaci „reńskiego szajn“ (około 40 centów dzisiejszych) temu, kto mu wskaże lisie wywodne jamy i że pojedzie i kilka mil na takie polowanie. Chłopi jak na odpust szli do futoru o dziesięć mil po tego reńskiego i często pan Michał nawet nie mógł korzystać z wszystkich wiadomości, bo trzeba wiedzieć, iż wielka ilość lisów przebywa na bezleśnych łanach, zmuszona w polu sobie kopać jamy, gdzie część ich pozostaje i myszkuje przez rok cały, część zaś pod jesień zdąża do krzaków i lasów.

Ulubiony miesiąc do polowania z jamnikami był luty. Z uśmiechem zadowolenia mawiał wtedy pan Michał:

— Bo widzisz pan, to lisie wesele, i dobrze się obłowić można, chociaż to te polne lisy nie odznaczają się pięknem futrem i żydzi niechętnie je kupują.

Nie mało dowodów wytrwałości składał pan Michał, jeżdżąc po bezdrożach i stepach za lisami. Nader często okłamał go chłop, za co poturbowanym bywał, to znowu lisy były na wycieczkach i trzeba było po dniu jałowym, po tych drogach powracać do domu, najczęściej w nocy. Wszystko to wszakże nie zniechęcało pana Michała. Gdy chłop z raportem przybył, wołał pan Michał: „No, pamiętaj, będzie bieda jak nie pokażesz lisa“ — lecz siadał zaraz na wózek, brał ze sobą łopatę, Grzesia i jednego gończaka na postrzelonego, nie pytając o odległość. Już w końcu lutego niechętnie polował, a w marcu nigdy, mówiąc, że on parszywych lisów nie potrzebuje. Gdy mu przedstawiałem szkody, wynikające w chowie sarn, zajęcy i kuropatw, z pomnożenia lisów, że cała cywilizowana Europa tępi lisy, nawet czyniąc ofiary, on mawiał:

— Czy u mnie dziesięć zajęcy, czy pięć, to mi obojętna, a lis bawi mnie na polowaniu i futrem mi utrzymuje psiarnię. Gdybym umiał mnożyć lisy, to bym to robił i pozwalał im szkody czynić w lesie, a mścił się na nich w zimie i w jesieni.

(Dokończenie nastąpi.)

Z letnich wycieczek 1886—1888.

przez

ALEKSANDRA UBYSZA.

Człowiek — twierdzą antropolodzy i filozofowie — kilkakrotnie w czasie swego żywota zmienia się cieleśnie i duchowo. I glob ziemski, jeśli nie ogólnie to w szczegółach ulega widocznym przemianom. Powolnie lecz stanowczo działający czas, przy pomocy żywiołów, wpływa na owe przemiany powierzchni ziemi; zaciera dawny jej typ a wytwarza nowy, odmienny od pierwotnego.

Wszystko to dzieje się bardzo powoli, niedostrzeżenie, jak posuwanie się godzinowej skazówki na zegarku. Patrząc się na tę skazówkę, mało dostrzeżesz, ale odwróć oko na dłuższy przeciąg czasu, a poznasz jaką przebyła metę.

Odmiany, jakie poczyniły się w pewnej okolicy, są dla stale tam przebywających prawie niedostrzegalne, lecz kto po dłuższem niewidzeniu w dawno znaną okolicę wróci, łatwo znajdzie zmiany, jakie w niej zaszły.

Okolice, które skreślić zamyśliłem, odwidziłem po 25-letniem ich niewidzeniu. Ćwierć wieku!... Pomyśl czytelniku, co się stać mogło, ba, stać musiało w przeciągu tego czasu. To peryod do zmiany pokoleń. Na grobach dawnych wznoszą się już nowe. Dość to dla znikomego rodu ludzkiego...

* * *

Dwaj panowie Poraje wracali do swej siedziby w ziemi Bełzkiej. Zaprosiwszy mnie do wspólnej z nimi jazdy i w gościnę do siebie, pozwolili zrobić wybór jazdy koleją lub *antiquo modo* końmi. Rozumie się samo przez się, wybrałem wtóre. Któż bowiem (osobliwie jak ja ciekawy) zechce niby worek frachtowy być transportowanym w wagonie, w rodzaju skrzyni, przez której otwory, w szalonym pędzie, bardzo niewiele zobaczyć można. Dobra to jazda jak dla kogo i pod jakiemi warunkami. Dla mnie kardynalnym było warunkiem przejrzeć okolicę, którą tak dawno nie widziałem.

Nie mieliśmy koni własnych we Lwowie, więc siadamy do fiakra Nr. 66 i — ruszaj. Niestety, wehikuł był karetą. „Nie mogło być inaczej“ — zawyrokował woźnica. Sadowimy się tedy we trzech w tej mysiej pułapce i jedziemy. Mijamy Kulików — od dawien dawna słynny z miodosytni — Żółkiew, sławną przeszłością. W teraźniejszości niemniej słynną być może, albowiem obsiadłe tam gęsto pokolenie Izraela odbywa Talmudem przykazane oczyszczanie ciał swoich w „Świni“, rzeczułce tuż za bramą „Rawską“ płynącej.

Jedziemy dalej. Tutaj Turynka, obok Bojaniec. Okolica płaska, piaszczysta, moczarowata. W prawo i lewo, chude lasy sosnowe z przymieszką olszyny. Przedsmak Polesia, okolica ta albowiem *de facto* należy do owej części niegdyś Rzeczypospolitej polskiej.

Mosty Wielkie, gród co się zowie, jakkolwiek z drzewa pobudowany. Znajdziesz tam rynek dość obszerny, i co najdziwniejsze, pomimo, że zamieszkały przeważnie przez żydów — dość czysty. Na oścież otwarte drzwi domu zaje-

zdnego pana Jacentego, przyjęły nas, strudzonych i zgłodniałych podróżnych.

Kto pan Jacenty? Osobistość to przedstawiająca się jako zawzięty polityk, a restaurator i kucharz doskonały. Naprzód przez panów Porajów o zamiłowaniu pana Jacentego do debat politycznych uprzedzony, zaraz na wstępie skierowałem dyskurs na błędne pola polityki zagranicznej. Lecz dysputa w tej mierze nie przeszkadzała mi wcale staczać zawziętą walkę z rojem much, cisnących się do potraw i pałaszować obiadu *con amore*. Pan Jacenty zaś, mimo podeszłego wieku, prawdopodobnie niechcąc i słówka z mojej gadaniny uronić — zwijał się jak młodzik, przynosząc talerze i t. p.

— Już to święta prawda — odezwał się - co pan dobrodziej mówi. Będzie wojna na wiosnę. Bo to cesarz rosyjski tak — królowa angielska siak — a Bismark, ho, ho! nie darmo mu głowa oblazła — niby nic a wiele — ho, ho! Co panowie na to powiecie — dodał pan Jacenty — że kiedy to wszystko jasno jak na dłoni wykładam panom oficerom od dragonów, co tu stoją i u mnie się stołują, to oni śmieją się ze mnie. Et, nie ma z kim gadać.

Konie popasły, czas jechać dalej.

— Którędy? — pyta starszy Poraj — na las Mosteński bliżej, ale piachy na całej dwumilowej przestrzeni. Otóż jedźmy na Parchacz, Głuchów i t. d.

Konie, jakkolwiek weterany w zawodzie fiakierskim, szły raźnie dopóki jechaliśmy bitym gościńcem Mosteńsko-Krystynopolskim, lecz gdy przyszło od dworu Parchackiego zboczyć na północ i na prywatną drogę, wnet na piaskach minęła je rączość. I nie dziw! Samo przez się ciężka kareta, z czterma osobami, przedstawiała ciężar niemały. Nic nam więc nie pozostało, jak wysiąść i ruszać pieszo. Uczyniliśmy to wraz z woźnicą. Począł się las, a przezeń dróg, obyczajem tamecznym, mnóstwo, a jedna gorsza od drugiej. Na tej w pośrodku przewaliła się ścięta przez kogoś sosna, ta znowu wykrętasami wiedzie pomiędzy sosny, że ciężkim powozem jechać tamtędy nie sposób. Niby pionier ruszam przodem, celem odnalezienia dogodniejszej drogi. Ruszył i fiakier. Naraz woła:

— *Aus*! Ta tu widzim jezioro!

— Ależ tylko kałuża, ruszaj śmiało — odpowiadam.

Przebrnęły jakoś przez wodę stare eleganty, po miejskim bruku chodzić przywykłe.

— Oj, żebym był wiedział, co to za droga, ani za sto ryńskich bym nie jechał. Ta tu jakieś „badonie“, lasy, wody, i piaski co strach — narzekał fiakier.

— A skądże ty rodem? — zapytam.

— Ta, z samego Lwowa — odpowie.

— Czy nigdyś nie widział lasów, błót i piasków?

— E, jakem był przy wojsku, przy infanteryi 30 regimentu, to bywało jedziemy „ajzebanem“, a na „feldübungi“ i „manebry“ to człowiek piechotą rusza i jest mu *alles eins*, czy zła droga czy dobra. A wo, a wo! — zawołał naraz — co to za zwierzyna?

— Stadko sarn, w pochodzie ku skrajowi lasu na żer wieczorny.

— Rychtyk to sarny. Widziałem takie na rynku we Lwowie, u tej grubej przekupki, co to taka zła jak...

W ten sposób ciągnęła się dalej rozmowa.

Dobrze sobie przypominam, że przed laty w tej stronie lasów Parchackich, sarn osobliwie bardzo było niewiele. Główną tego przyczyną było nieprzestrzeganie przepisów łowieckich, niemniej i zbytnia moczarowatość łąk, z chudą trawą tak zwaną „osoką“, oraz pól lasom przyległych, z przyczyny moczarowatości nigdy nie obsiewanych. Zwierzyna łowna, jak sarny i zające, nie lubią mokradeł, albowiem brak na nich żeru. Sarny osobliwie, gdzie nie ma w pobliżu pól obsianych oziminą, unikają miejsc takowych dla braku żeru. Jesienią i w zimie pola zarunione pszenicą, żytem lub rzepakiem, dają im dostatnie żerowisko; toż przyległe lasy obierają sobie za ostoje. Pola i łąki Parchacza i Głuchowa przed laty były nieużytkami. Obecnie, osuszone rowami, przedstawiają się jako wyborne łąki, lub role o ziemi urodzajnej, piasczystej lub czarnej z wapnistym podkładem. Na całej tej płaskiej przestrzeni dziwna jest niejednolitość gleby. Co kilka stajań zmienia się gatunek ziemi, ztąd i lasy o mięszanym drzewostanie. Gdzie rędzina, rośnie dąb, gdzie mokradła lub torfowiska, porasta czarna olszyna, wzgórki piasczyste okrywa sośnina. Osuszenie pól wspomnianych i w ogóle racyonalniejsza kultura, przyniosła korzyści i gospodarstwu łowieckiemu. Sarny lub zająca nie przywabisz pięknem słówkiem niby człowieka; posiej ozimine, poddaj nieco żeru, gdy grube spadną śniegi, to najskuteczniejszy umizg dla zwierzyny łownej.

Słowem, okolica ta z uroczyska, wsuniętego w las, od mieszkań ludzkich zdala, czem była przed 25 laty, stała się obecnie przestrzenią łanów urodzajnych. Na polach rosło zboże, a na łąkach miast osoki, nawet zimą zwierzynie łownej wstrętnej, porasta miększa, słodsza trawa, z kępkami szerokolistnej ciemiężycy. Gdzieniegdzie znów kępami, niby las, wyrasta bujnie szczaw koński, najulubieńsza pielesza dla „potrzyszczów“.

Derkacze, szyjąc spodem traw i burzanów, „skrzypiały“ donośnie; nie nader wdzięczna to muzyka, jednakowoż uzupełnia harmonię orkiestry sielankowej, wpadając w takt gruchaniom turkawek w lesie, spiewom, żegotowi żab — podobnie jak samo przez się niewdzięcznego głosu fagot, który, zdaniem muzyków, jest koniecznym w każdej orkiestrze.

Nie tak było tu przed laty.

Podwodą, daną we dworze Parchackim, tą samą drogą jechałem ongi w okolicę Bełza. Jak dziś pomnę, parą dziarskich mierzynków, lekkim wózeczkiem. wiózł mnie dobrze już niemłody gumienny. Z oczu jego poznałem, że to stary dworak i bywalec. Nie omyliłem się: był to człowiek, który wedle przysłowia „z niejednego pieca chleb jadał“, a gadatywus przytem! W to mi graj!

— Czy zwierzyna jest w waszym lesie? — zapytałem.

— A jest, ale w tamtej części za rzeką, tu mało, chyba dziki i czasami wilki. A było ich tu, było dawniejszemi laty w naszym ot tym lesie, w Mosteńskim i Wolickim. Tam się nawet wywodziły. Jednego roku, w miesiącu wrześniu, powracał chłop pewien Parchacki z Bełza do domu. Poczęło się właśnie zmierzchać, gdy wjechał na tę drogę, którą jedziemy. Za końmi, któremi jechał, biegło źrebię klaczy zaprzężnej. Jak to panu wiadomo, źrebięta, skoro się nieco odessą, nie dbają tak dalece o matkę, toż mają zwyczaj zdala wlec się za wozem. Chłop, powróciwszy do domu, dopatrzył się, że nie ma źrebięcia. Nic to, pomyślał, wróci. Nie powróciło w nocy. Toż mniemając, że zbłąkało się gdzie w lesie, począł je szukać wraz z klaczą matką, która rżąc donośnie, nawoływała go ku sobie. Ale szukania były bezskuteczne; źrebię gdzieś przepadło... Ludzie osądzili, że musiało obcej jakiejś fury uczepić się w czasie przejazdu. Aż tu w jaki tydzień ta sama powtórzyła się historya z źrebięciem naszego ruskiego proboszcza. W czasie powrotu do

domu na tej samej drodze źrebie mu szczezło i nigdy się nie odnalazło. Coś w tem jest, ale co? Ludzie sądzili, że może czort, nie mogąc porwać duszy ludzkiej (bo u nas ludzie nabożni), mści się, puści tumana, taj zaprowadzi biedne łosze w las na manowce, żeby pohybło. Kto go tam wie? może i tak. Aż pewnej nocy — a było to już po żniwach — trzech chłopów tutejszych wracało wozami do domu, równie z Bełza. Noc była widna, bo miesiąc świecił jak rybie oko. Zdala za wozami biegło łoszę, spokojnie jak zwykle, wtem naraz, rżąc głośno, nadbiega galopem ku wozom, a za nim dwoje ogromnych wilków. Chłopi narobili krzyku, wilczyska uciekły w las. Ot tobi! wydało się nareszcie, kto porywał łoszęta. Na drugi dzień pan rządca wspólnie z całą gromadą zrobił obławę i ubili parę starych wilków. Musiały mieć młode, bo przez dłuższy czas po ubiciu owej pary, nocami i świtem, gdzieś z głębi lasu słychać było cienkie trąbienie osierociałych wilcząt, które nawoływały rodziców.

— A dziś trafiają się wilki? — zapytałem.

— Trafią się, ale ich nie wiele, bo w Mosteńskim lesie, gdzie się wywodziły najradziej w łozach moczarów, których tam i dziś jeszcze sporo, pan dziedzic poluje na nie z oficerami od kawaleryi, co w Mostach rok rocznie stoją...

* * *

Ale zapędziłem się w przeszłość. Powracam tedy do naszej jazdy ciężkim powozem, piaskami, przez kałuże i doły, i to parą zmanierowanych koni, przywykłych do miejskiego bruku lub walcowanej drogi. Pomęczyły się biedaki! Było jeszcze jakie ćwierć mili twardszą drogą, ale za to śliską jak po mydle, bo niedawnym deszczem zmoczona biała opoka, stanowiąca nasyp tego szlaku, utrudzała koniom chód, a powóz, luzując się co chwila, groził stoczeniem się do głębokiego rowu.

Nareszcie... Witam cię rzeko Sołokijo! Cicha jak dawniej, zarośnięta grzybieniem (po miejscowemu „momyczem“) o dużych liściach i sporym kwiecie żółtej barwy, a tam, gdzie najgłębsza toń, liliami wodnemi, rozmiarem liści podobnemi do momyczu, ale odmiennemi kształtem, barwą i wonią kwiatu

Stojąc przez dłuższy czas na moście, rzuconym przez Sołokiję, wpatrzony w spokojne jej nurty, dumałem o przeszłości. Szczęśliw, komu ona tak cicho, spokojnie przeminęła, jak spokojnie płyną te wody...

— Konie wytchnęły, jedziemy! — odezwał się rodzaj pobudki, budzącej mnie z tej smutno-miłej zadumy.

Jużeśmy na wyżynach prawdziwej Bełzkiej ziemi. Chlebno tam, lecz bezleśno. W oddali czernieją bory, które przebyliśmy. Jaka szkoda, że nie zastosowałem się do ustępu „Pieśni o ziemi naszej“:

Lecz pamiętaj gałąź choją
Po za brykę zatknąć twoją,
Bo gdy wjedziesz w Ruś „pasznistą“,
Równą, suchą, nie lesistą —
W lada którem ruskiem siole,
Krasawice stojąc w kole:
„Z boru jadą!“ wołać będą,
I z hałasem wóz obsiędą,
I rozerwą gałąź choją
I do cerkwi cię przystroją...

W tej stronie ziemia Bełzka prawie bezleśna. Gdzieniegdzie tylko niby duża remiza widnieje krąglaczek leszczyny, głogu i t. p. krzewów. A nawet i te co roku mniej zajmują przestrzeni, bo skrzętni gospodarze kiereszują je z całym zapałem nowoczesnych agronomów, w chęci powiększenia ról swych bodaj o kilka sążni. W niektórych miejscowościach ziemi Bełzkiej do tego już doszło, że śmiało można zadać kłam przypowieści mówiącej: „Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie.“ Otóż nie znajdzie, nawet z płotu kija nie wyłamie, bo tu po dworach miast płotów, parkany. Szczęście zatem dla psów, bo:

Nim pan kija wyszuka,
To się już „wyfuka“.

Niechże mi kto zaprzeczy, że świat się nie odmienia? Gdzie przedtem były lasy, dziś czernieją role, ba, budowle folwarczne widnieją w oddali.

Gdzież owe gaiki, tu i owdzie po polach porozrzucane? Nie ma ich! Wszystkie poszły na ofiarę bogini Cererze. Precz z poezyą, poco nam pieśni słowiczych, których pełno w gajach owych bywało; lepszy dochód, chociażby kilkuguldenowy, niźli owe trele słowików i wogóle śpiewaków leśnych. A czy łowiectwo nic na wyniszczeniu owych gaików nie straciło? Bardzo wiele, zda mi się; w okolicy tej amatorowie polowania skarżą się na brak kuropatw. Przyczyna tego ubytku łatwa do odgadnięcia. Ptactwo to, po sprzęcie zboża z pól, w zimowej porze, niemając oparcia wśród zawieruchy i ochrony przed jastrzębiami, albo giną co do nogi od srogości klimatu, lub je drapieżcy różnego rodzaju wyłowią. „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie“ powiedzieć można.

Z mnogości kuropatw słyną Czechy. Proszę jednak przypatrzyć się, jakiej one tam doznają opieki. Mimo zaludnienia, stosunkowo do obszarów ziemi liczniejszego niźli u nas, skutkiem czego dotacya włościan w role i łąki mniejszą być musi niż u naszych włościan — pomimo wysokiej kultury, nie brak tam naturalnych i sztucznych remiz, w których i kuropatwa a nawet zając schronisko w czasie jesiennych słót lub zawiei zimowych znajduje. A do jakiego stopnia nawet rząd ochronę kuropatw tam posunął, niech posłuży przytoczone poniżej postępowanie, będące normą w miejscowościach, należących do rządu.

Twierdza Jozefstadt, jak wogóle fortece dawniejszego systemu, kilkakrotnie obwiedziona jest ziemnemi wałami. Wały te porosła bujna trawa, której sprzęt komenda fortecy wieśniakom okolicznym za pewną cenę wydzierżawia. Przed samą kosowicą oficer inżynieryi z kilkudziesięciu żołnierzami i dzierżawcami prawa koszenia owej trawy, jak najściślejsze czynią poszukiwania za gniazdami kuropatwiemi, których na całej przestrzeni do trzysta a nawet do czterysta bywa. Każde znalezione gniazdo uwidocznia się wiechą słomianą. Nienaruszalność gniazda i miejsca na sześć stóp wokoło, stanowi ważny punkt kontraktu dzierżawnego. W czemkolwiekbądź przekraczający, znaczną płaci grzywnę. Oryginalny widok przedstawiają owe kępki pozostałej trawy, na nagiej po skoszeniu powierzchni. Tak postępują Czesi, mający jak wiadomo tyle zamiłowania do łowiectwa.

* * *

Być w Bełzkiem, a błót bełzkich nie widzieć, znaczyło tyle, co przypowiastka o „Rzymie i Papieżu“.

Wczesnym rankiem zajechały przed ganek dziarskie gniadosze pana Poraja. Wskakuję na wózek i ruszam ku czołu ongi owych sławnych błot, ku Ostobużowi.

Czytelniku! Żeby ci wiernie skreślić stan, w jakim się znajdowała dusza moja, powiem ci, że byłem podobnym do studenta, który jedzie na wakacye. Wszystko go zaciekawia, wszystko zajmuje, a koniom wiozącym go radby przyprawił

skrzydła, żeby go prędzej do celu podróży zaniosły. Gniadosze zaś jakby przeczuwając kogo wiozły, szły szparko. Wnet przejechawszy Prusinów, znaleźliśmy się pod lasem miasta Bełza, z swoją leśniczówką „Zieloną“.

Towarzysz mej podróży, młodszy pan Poraj, spoglądał ze zdziwieniem na mnie, starego zapaleńca. Pod wpływem wspomnień począłem mu opowiadać dawne dzieje tych miejsc i ludzi, co tu żyli, polowali i t. p. Wtem u skraju lasu Bełzkiego dojrzeliśmy zabudowania jakieś.

— Co to za futor? — pytam.

— To leśniczówka „Zielona“.

— Jakto, przeniesiono ją z głębi na skraj lasu?

— Nie, znaczną część lasu wycięto i wykorczowano przed kilkunastu laty, więc leśniczówka niegdyś w głębi lasu, znalazła się u skraju.

Ot! — gospodarka małomiasteczkowa. Te i tym podobne zniszczenia zmusiły w końcu rząd do położenia swego *veto* i zesłania komisarza, celem zapobieżenia nadużyć i zaprowadzenia porządku. Leśniczówka „Zielona“ jakże odmienną od dawnej przybrała postać! Znikła typowość leśniczówki „starej daty“, a wyrobiło się coś, co nie ma żadnego charakteru. A las? — to w znacznej przestrzeni młodnik, z którego kiedyś chyba trzecie pokolenie sławetnego bełzkiego mieszczaństwa korzyść ciągnąć będzie. Dziś przedstawia się nie bardzo ponętnie. Jaki tam zwierzostan? nie wiem. Gdzież ów gęsty bór z czasów leśniczego Czajkowskiego? Ni śladu po nim...

Pieszo przeszedłem ten las. Smutek mną owładnął — smutek, wywołany wspomnieniami i rozczarowaniem.

Znając dobrze okolicę, wiedziałem, że niebawem ujrzę Bełzkie błota. Uprzedzony o zmianie, jakiej uległy, wyznam otwarcie, ze ściśnionem jechałem sercem. Już są blisko, nie widzę ich, bo zakryte chatami wsi Tolkowa, ale je słyszę: huczą, syczą, podobnie jak kipiący samowar. To żaby w miesiącu lipcu zaniechawszy wedle obyczaju wiosennego żegotania, mają zwyczaj „kumkać“ w porze porannej, a „huczeć“ w południowych lub wieczornych godzinach. — Mickiewicz powiedział, że go z tęsknoty tylko „szum litewskich lasów wyleczyć był w stanie“. Mnie wyleczyły z smutnego usposobienia głosy żab z Bełzkich błót. Począłem weselej poglądać wokoło. Tu nie wszystko tak znacznej uległo przemianie. Lud wiejski z wszelkim pietyzmem trzyma się starożytnego nawet obyczaju budowy chat i stroju. Chaty jak niegdyś wysokim ogrodzone płotem. A co „obejście“ to i studnia ze skrzypiącym żórawiem. Była niedziela. Toż kupkami stał lud płci obojej przy drodze. Jak ongi, odziany w swe śnieżnej białości obszerne wschodnim krojem szaty, „mandyny“, witając nas przejeżdżających, właściwym w tych stronach zwyczajem, bez słów, krzyżował jedynie ręce na piersiach z dość niskim ukłonem. Nie jestże to wschodni sposób kłaniania się? Brak tylko „salej alejkum“, a miałbyś Turka lub Tatara.

Wszystkie wsie na całej przestrzeni od Żółkwi i Mostów Wielkich, z wyjątkiem Sokalskiego i właściwej ziemi Bełzkiej, aż po Rawę ruską, zaludnione są przez brańców tatarskich. Ludność tych wsi pod względem stroju i niektórych obyczajów, do dziś zdradza swe wschodnie pochodzenie. Mosty Wielkie, Dobrotwór i Kamionka Strumiłowa, do dziś jeszcze zaprzęganiem swych koni w „duhę“ przypominają zwyczaj, będący czysto tatarskim. A owe wozy z równym niby skrzynia wasągiem, z dwoma dyszlami, to „arba“ tatarska Mimo tylu wieków i całkowitego zmięszania się owych brańców tatarskich z ludnością ruską lub polską, nierzadko czystego potomka owych pra-pra-dziadów napotkać tu można. Poznasz go po policzkach wydętych i niewielkich w skos osadzonych oczach.

Las, dwór Tehlowski! Serce się ściska na widok zniszczenia i zaniedbania, którego ślady co krok się tu spotyka. Prawdziwe „hebrejskie gospodarstwo“. Ale ot, Woronów i Bełzkie błota! *Nec locus ubi Troja fuit.* Gdzie były błota z ostrowami, oczeretami, szuwarami, tatarakiem — dziś, moczarne łąki z mnóstwem kopic siana, które jak i dawniej tylko w zimie zwieźć można. Pożyteczniej na tych przestrzeniach niźli dawniej, ale i smutniej...

Kędy rzucić okiem, nic nie widać — jednostajność uprzykrzona. Gdzież owa „rekrucka“ wysoka ostrowa? Osiadła, zrównała się z poziomem, znikła!

Ale nie pora do tęsknych wspomnień. Burza deszczowa nadejdzie niebawem.

— A dlaczego? — pyta mnie towarzysz podróży.

— Bo wrony ze wszech stron ciągną w stronę Ostobuskiego lasu, żeby się tam skryć.

Wróble, które daleko aż po za wieś wyleciały, by się uraczyć dojrzewającym już na niektórych poletkach jęczmieniem, wracały całemi stadkami. My pospieszamy, a przed nami leciała chmara wróbli, rozlatując się po zabudowaniach dworskich Ostobuża. Niebawem rozhulała się prawdziwa letnia ulewa z grzmotami i błykawicami i zmoczyła nas do nitki.

* * *

Najdogodniejszy pogląd na Bełzkie błota jest od cerkiewki, stojącej tuż przy brzegu Sołokii. Burza letnia, podobnie jak gniew sangwinika, nie długo trwała, i w czasie, kiedy towarzysz mój wypoczywał po trudach podróży śród tropikowego gorąca, u gościnnego ruskiego parocha, ja poszedłem nad brzeg rzeki, by z lunetą przy oczach przejrzeć przyległe jej dawne błota, dziś nieistniejące już nawet w tej stronie, gdzie niegdyś w całej swej znajdowały się okazałości. Cóż po nich pozostało? Nic z dawnej ich groźnej i właściwej piękności. Jedyną pozostałością jest synagoga bełzka, jak ongi w oddali się rysująca. Dziwne! czy mnie szkła lunety mylą? Wydaje się, jak gdyby budowla owa przybrała na rozmiarach. Odkładam szkła i spostrzegam to samo. Niegdyś, gdy błota były jeszcze w pełnej swej okazałości, synagoga bełzka, jak gdyby wynurzając się z moczarów, nawet po skoszeniu szuwarów, łozin i traw, znacznie niższą się przedstawiała, gdy przeciwnie teraz widać ją dokładnie po same prawie fundamenta. Jest temu przyczyna. Torfiasty grunt błót osiadł się po osuszeniu i skutkiem tego maleńki wzgórek, na którym stoi Bełz, a właściwie ta jego dzielnica, gdzie synagoga zbudowana, stał się dominującym po nad płaską przestrzenią błót. Grunt moczarów osiadł się, a jeszcze bardziej płaskim uczyniło go to, że zniknęło owe mnóstwo ostrowów, których, to większych to mniejszych, były niegdyś krocie.

Nie ma tu już ptactwa błotnego w tych gatunkach i w takiej ilości jak dawniej. Jak po wycięciu lasu, miasto dawnej dębiny lub sośniny, ni ztąd ni z owąd wyrasta osiczyna lub brzezina, podobnie i po osuszeniu stawu, jeziora lub błót, nie zakładają już swych pieleszy te gatunki ptactwa co dawniej. Gęsi dzikie, kaczki, żórawie, bąki (hupały), czasami łabędzie, perkozy, które niegdyś na tych topielach stale przebywały i gnieździły się, porzuciły je dziś bezpowrotnie. A gdy kaczki lub gęsi dzikie zapadną tu niekiedy na wiosnę lub w jesieni, to chyba dla chwilowego wypoczynku. Krótko zabawiwszy odlatują.

Długi czas śledziłem te przestrzenie, żali co nie dostrzegę; niewiele niestety widziałem. Oprócz znacznej liczby

bocianów, z właściwą sobie powagą kroczących w czasie żerowania, czajek hałaśliwych, piskliwych kulików, a w końcu — że to było po deszczu — bekasów, ciągnących na dogodniejsze żerowiska — nic więcej dopatrzeć się nie zdołałem...

Hej! hej! nie tak to jak dawniej! Gdzie to krzywy Wasyl? Już z lat dziesiątek jak spoczywa na wiejskim cmentarzu... Wszystko, co ongi było tu godnem widzenia, opisałem w „Bełzkich błotach". O stanie obecnym tych błót, jak biskup Krasicki o Ryczywole — „zamilczeć wolę".

Przebacz mi czytelniku, lecz jam stary, toż wedle właściwej wiekowi przywary wspominania dawniejszych czasów, opowiem ci zdarzenie na tych tu błotach.

Pewnej wiosny — roku nie pamiętam — pojechałem do Ostobuża, albowiem mnie tam na Święta Wielkanocne krewni zaprosili. Święta wypadały w połowie kwietnia, wiosna była posuszna. Po zwyczaju obaj z krzywym Wasylem wałęsaliśmy się po błotach, strzelając kaczki, których mnóstwo było na rzece i większych niewyschniętych „kołbaniach". Dzień, jak to mówią, wyganiał nas na owe łowy, a noc przyganiała zmęczonych do domu. Był to wieczór, a ciemny, bo księżyc na ostatniej kwadrze wschodził prawie ze świtem i to w wielkości rogalka z piekarni karlsbadzkiej. Wróciliśmy z błót. Siedziałem przy stoliku, przypatrując się pasyansowi, zwanemu Napoleońskim, którego mnie stryjanka moja koniecznie nauczyć chciała. Naraz, na ciemnem tle nocy, w stronie błót, ognie jakieś zabłysły.

— Co to jest? — pytam.

- Nie wiemy — odpowiadają mi ze śmiechem obecni.

Wybiegłem na ganek, skąd wyborny pogląd na błota. W życiu mojem nic piękniejszego nie widziałem. W różnych stronach błót czołgały nito ogniste węże, jak gdyby się prześcigały w pochodzie. Jeden z nich na znaczną przestrzeń wyprzedził pełznących obok towarzyszów — nie na długo jednak — wnet bowiem pozostałe w tyle w szalonych podskokach go dościgały, łączyły się z nim, tworząc tem samem olbrzymiego potwora, płynącego majestatycznie w kształcie rzeki ognistej. Ówdzie znowu pełznie potwór jakiś ognisty, kształtem podobny do olbrzymiego pająka. Pełznie, bo co chwila porusza swemi długiemi łapami, jak to czyni pająk zwany „kosarzem". To gorą zeszłoroczne trawy niepokoszone na łąkach lub ostrowach. Z umysłu wieśniacy je wypalają; w przeciwnym bowiem razie hamowałyby wzrost traw nowych. Wypalone zeschłe trawy, szuwary i tataraki, pozostałym popiołem użyźniają grunt, dając tem samem bujniejszy plon swym właścicielom. Trudno się powstrzymać na widok takich uroków. Co tchu więc pobiegłem na błota. Wasyl już tam był — w dwojakiej występując roli — jako delegowany przez gromadę do podpalania zeschłych traw na bezdennych topieliskach, na które nocą osobliwie nikt by się pójść nie ważył — i jako myśliwy, czatujący na różnorodne błotne ptactwo, które, złudzone blaskiem ogni pożarnych, hurmami naokoło krążyło. Pisk kulików, kihitanie czajek, kwakanie kaczek dzikich i łopot skrzydeł stad dzikich gęsi — cały ten koncert nocny nie da się określić. Śród tego padał mniej lub więcej skuteczny strzał „janczarki" Wasylowej.

Urocze to były dla mnie łowy. Dobrałem się jakoś do Wasyla, który, nito psotny Chochlik lub błędny ognik, migał śród nocy trzymanem w ręku gorejącem łuczywem, podkładając takowe pod suche trawy lub rogoże. I ja począłem go naśladować, zapałkami wzniecając pożar w trawach, które wokoło mnie rosły. Ale dobrze mówi ruskie przysłowie: „kołyś ne perih, ne perożysia". Wnet poznałem, że i w tak marnej rzeczy, jak zapalanie suchych traw, doświadczenie mieć trzeba. Z zapałem wziąwszy się do tej roboty, nie zmiarkowałem, że wzniecałem pożar nie wzdłuż tylko szeroko na okół. Macham zawzięcie kapeluszem, żeby tym sposobem lepiej ogień rozniecić. Jakoż buchnęły płomienie, lecz osmaliły mi brwi i czuprynę. Nie zważam jednak na to i niby opętaniec latam po błotach. Nawet kilkakrotne zabrnięcie w wodzie powyżej kolan, nie ostudziło mojego zapału. Nic nie zważam — aż tu naraz słyszę szum jakiś — oglądam się, a to płomienie z błyskawiczną szybkością w wielu miejscach razem się złączywszy, pędzą ku środkowi, to jest ku miejscu, gdzie stałem. Znalazłem się prawdziwie w „zaklętem kole". Uciekać — nie sposób. Gdzie spojrzę, odwrót płomieniami zamknięty. Ot, masz tobie! — pomyślałem. — Co począć? Na moje szczęście, znajdowała się w pobliżu mała kępa, wkoło wodą oblana. Brnę tedy w wodę i błoto wyżej pasa i jużem na zbawczym kęsie ziemi.

A przecież, mimo całej grozy położenia, do białego dnia zachwycałem się widokiem tego ognistego jeziora. Więcej niż sto morgów łąk i moczarów jednym gorzało płomieniem. Wasylowi udało się ubić i odnaleźć cztery dzikie gęsi i coś kaczek. Do czajek i kulików nie strzelał. Wyglądaliśmy obadwaj, osobliwie ja, jak nieboskie stworzenia.

Gdzież te dawne, błogie moje czasy! — myślałem — wpatrzywszy się w znikłe już błota Bełzkie. I was nie ma i mnie wkrótce może nie będzie... Ach! gdyby módz legnąć ot na tym tu cerkiewnym cmentarzyku, który tyle dla mnie mieści pamiątek, a zkąd taki widok na rzekę Sołokiję i te ongi tak dla mnie miłe moczarne obszary. Lecz słusznie powiedział Pol:

> Kto odgadnie gdzie osiędziesz,
> Jaką wodą w świat popłyniesz,
> Jaką bronią walczyć będziesz,
> I od czyjej broni zginiesz?...

* * *

Oto blado może, lecz wiernie skreślony obraz teraźniejszych błót Bełzkich. Nie wiem, jakie one korzyści po osuszeniu przynoszą swym właścicielom. Co do łowiectwa jednakże, najzupełniej straciły dawną swoją świetność, a względnie użyteczność. O ile zauważyć mogłem — co mi zresztą potwierdzono — prócz bekasów i dubeltów, inna zwierzyna błotna tu się nie pieleszy. Wodne ptactwo gości chyba chwilowo, w przelocie. Kaczki dzikie obrały sobie na gniaździska jeziora i błota w lasach Mostów wielkich. Dziki, które dawnemi laty z przyległych błotom lasów, w czasie zawiei zimowych, miały zwyczaj zapuszczać się na niezbyt grząskie moczary celem żerowania — gdyż rosły tam przeróżnego rodzaju burzany, jak łopian, żywokost i inne rośliny o grubych i pożywnych korzeniach — dziś już się tam nie pojawiają. Nawet lisa obecnie „nikt nie uświadczy", jak się, bywało, wyrażał krzywy Wasyl. A dlaczego? Najprzód nie ma wiklin, trzcin, rogoży lub gęstych sitników, w których by się skrył, a co najważniejsza, znikły owe oparzeliska, kołbanie, jeziorka pełne piskorzy, któremi mykita raczyć się zwykł w głodnych zimowych miesiącach. Słowem, opustoszały te miejsca z łownej zwierzyny większych rozmiarów, a powierzchnia ich straciła również na dawnym uroku.

Niechajże kto zaprzeczy teraz, że powierzchnia ziemi się nie zmienia, nie przeobraża...

(Dokończenie nastąpi.)

GDZIE SIĘ PTAKI NIE GNIEŻDŻĄ?

Każdy gatunek ptaków przestrzega w ogóle pewnych stałych prawideł w wyborze miejsca na gniazda i w sposobie ich budowania. Są jednak liczne wyjątki, które dowodzą, że oprócz praw, obowiązujących gatunek, są jeszcze silne, indywidualne, a trudne do wytłumaczenia popędy, które wpływają na wybór miejsca na gniazda. Wybór ten jest częstokroć tak szczególnym, że ptak pozbyć się musi wszelkiej przyrodzonej mu bojaźni i przezwyciężyć rozliczne trudności, aby tylko plan swój wykonać, a nieraz wyczytać by się w tem dał chyba ten zamiar, że ptaszyna pragnie siebie i swe pisklęta oddać jak najbardziej pod opiekę człowieka.

Znane są wypadki odbierania gniazd jednym ptakom przez inne. W rabunkach tych przejawia się wszakże tylko panujące w przyrodzie prawo mocniejszego, pociąg do korzystania z cudzej pracy dla własnej wygody. Gdy z wiosną szpaki powrócą, wybucha zazwyczaj walka pomiędzy nimi a wróblami o gniazda. Wróble, jako słabsza strona, ustępują, lecz za to wywierają swą zemstę na słabszych od siebie jaskółkach, a wyrugowawszy je z pięknie ulepionych gniazdek, same się w nich pieleszą. Wiadomo, jak się znów za to mści jaskółka. Bywały wypadki, że z pomocą innych jaskółek, z niesłychaną szybkością zalepiała otwór do zrabowanego gniazda, skazując tym sposobem bezprawnego przywłaszczyciela i jego rodzinę na śmierć głodową.

To są wyniki walki o byt. Lecz sam dobrowolny wybór stanowisk na gniazda jest czasem tak dziwnym, że zasługuje na szczególniejszą uwagę. W piśmie „Mittheilungen des ornitologischen Vereines in Wien“ znajdujemy artykuł, w którym wymieniono szereg takich wypadków.

W pewnej miejscowości w Brabancyi, obrała sobie j a s k ó ł k a d y m ó w k a *(Hirundo rustica)* miejsce na gniazdo w przedsionku zamkowym, ubranym łowieckiemi trofeami, i to ulepiła je na przybitej do ściany głowie kozła, między parostkami. Zostawiono ją tam w spokoju, lecz musiano drzwi już o 5. godz. rano otwierać, ażeby stare mogły wylatywać po żywność dla piskląt. Gdy te już poczęły być lotne, powracały zawsze do przedsionka i ulubionem ich miejscem spoczynku była lampa, wisząca nieopodal gniazda.

W Oberdischingen, w Wirtembergu, obrała sobie para j a s k ó ł e k o k n ó w e k *(Hirundo urbica)* miejsce na gniazdo w jadalnym pokoju wiejskiego dworu, i to również nad lampą, a mianowicie nad kulą przyrządu pociągowego. Ściąganie i podnoszenie lampy, ani światło tejże, nie odstraszało wcale tych dziwnych bohaterów. Wywiodły młode w swem gniazdku i przez parę lat powracały do niego. Czy nie przyczyniło się do tego ciepło od lampy, przyspieszające lęg?

Gnieżdżenie się jaskółek pod belkami w stajniach i oborach nie należy wcale do rzadkości; toż samo zapuszczają się one z budową gniazd i do izb przez ludzi zamieszkałych, jeśli tylko okna stoją im do wylotu otworem. Ruch życia rodzinnego nie płoszy ich wcale.

Na stacyi Brühl, koło Kolonii, lepią jaskółki już od lat dziesięciu gniazdo w sali poczekalnej III. klasy, nie zwracając wcale uwagi na łoskot pociągów i ruch pasażerów.

W Heilbronie gnieżdżą się dymówki od wielu lat w pewnej fabryce kwasu winnego pomiędzy transmisyami, warczącemi kołami i dymiącemi się panwiami. W innej fabryce ulepiły gniazdo na rurze gazowej tuż nad palowiskiem, w bardzo znacznej temperaturze, i wyprowadziły tam młode. Gwar fabryczny nie odstraszał ich wcale.

W pewnej miejscowości w Saksonii zbudowała sobie para jaskółek gniazdo w sali magistrackiej i to używając za podporę haków, podtrzymujących drut do dzwonka; w innem miejscu, w zbiorze zoologicznym, spostrzeżono nagle gniazdo jaskółcze na grzbiecie krogulca wypchanego, jak gdyby dla ekspiacyi za to, iż za życia mordował drobne ptaszęta.

W znanym powszechnie handlu nasion i roślin J. C. Schmidta w Erfurcie zdarzył się ten wypadek, że para szarych p o k r z e w e k *(Curruca cinerea)* uwiła sobie gniazdeczko na drzewku laurowem. Zostawiono im otworem okienko w szklannym dachu, więc bez dalszej troski o kręcącą się po handlu publiczność, wywiodły tam swe młode.

Szczególne rzeczy opowiadają także o wyborze miejsc na gniazda przez p o ś m i e c i u c h a *(Alauda cristata)*. Na dworcu kolejowym w Lundenburgu na Morawie gnieździły się pośmieciuszki tuż koło szyn, nie zważając na pociągi, przesuwające się ponad niemi z trzaskiem i hukiem.

O podobnie umieszczonem gnieździe pośmieciuszków opowiada przyrodnik Herzog co następuje: W pobliżu Darmstadu w r. 1865. usłała sobie para pośmieciuchów gniazdo w zakątku, gdzie się dwa tory kolejowe krzyżowały. Wkrótce leżało tam już cztery jajka i samiczka zaczęła je wysiadać. Gdy nadchodził pociąg, chowała główkę, lecz gniazda nie opuszczała i wywiodła wnet troje piskląt. Raz jedno z młodych frunęło na szynę i nie zeskoczyło z niej, pomimo, że pociąg się zbliżał. Daremnie stare wabiły je ku sobie — nie miało wyobrażenia o niebezpieczeństwie. Dopiero jedno ze starych, chwyciwszy niedoświadczone pisklę za czubek, zrzuciło je z szyny. Wszystko to widział dozorca kolejowy, więc po przejściu pociągu wydobył gniazdo z młodemi i przeniósł je do pobliskiej koniczyny. Stare poleciały za nim i już w koniczynie dokończyły edukacyi młodych.

Przyrodnik Baldamus podał także wiadomość o gnieżdżeniu się pośmieciuszków pomiędzy szynami kolejowemi, a w Eckartshausen w Wirtembergu znaleziono gniazdo p l i s z e k b i a ł y c h *(Motacilla alba)* tuż koło zwrotnicy między szynami, po których co najmniej 12 pociągów dziennie przelatywało.

O pliszkach opowiadają, że gnieżdżą się chętnie w próżnych wagonach kolejowych i odbywają w nich podróże.

Przed zamkiem w Warthhausen stoją dwa działa bronzowe, zdobycz wojenna z roku 1870. Jedno działo „L'ecrivain“, lane za czasów Ludwika Filipa, drugie „l'Alsacien“ z pod prezydentury Ludwika Napoleona. W r. 1883. zamierzała para k o p c i u s z k ó w (Pliszka czerwonogon), zwanych w Tatrach „gazdami szałaśnymi“, *(Ruticilla tithys)* usłać sobie gniazdeczko w Ecrivain'ie, lecz nie dokończywszy roboty, przeniosła się do Alzatczyka. Tam, usławszy gniazdo we wnętrzu działa, zniosła samiczka w czasie od 10. do 15. maja pięć jaj, z których dnia 31. maja pisklęta się wykłuły i d. 14. czerwca marcyalne siedlisko swe opuściły.

O kopciuszkach znane są jeszcze inne autentyczne wypadki oryginalnego bardzo gnieżdżenia się. W pewnej kaplicy zamkowej, korzystając z okoliczności, iż szyba w oknie była wybita, gnieździły się one za ołtarzem; inne w pokoju

wieżowym tegoż samego zamku, na pułkach z talerzami, po za pięknym półmiskiem majolikowym. Na grobach, w zagłębieniach krzyżów i t. p., można gniazda ich także nieraz spotykać. Raz znaleziono gnieżdżącą się parkę w rogu półkoszka, w wozie, który stał dłuższy czas nieużywany w wozowni. Zostawiono ją w spokoju i wywiodła siedmioro bardzo żwawych kopciuszków.

Przyrodnik H. Weisse znalazł parę gnieżdżących się sikor *(Parus major)* w rurze od pompy studziennej, która już dłuższy czas nie była używaną. Wybór ten uczyniły sikorki tuż obok ogrodu, w którym nie brak było dziupeł i innych stosownych na gniazda miejsc. Wywiodły w głębi tej rury, w gnieździe, przez które środkiem przechodził drążek od tłoka, sześcioro młodych, a znosiły im pożywienie z niezwykłą odwagą, gardząc wszelkiemi przeszkodami i trudnościami. Gdy rączką od pompy tłok poruszono, poczynały pisklęta ćwierkać, lecz nie doznały uszkodzenia, tak mocno gniazdo przytwierdzone było do wewnętrznych ścian rury.

Inną parkę gnieżdżących się sikor znaleziono w mało używanej skrzynce prywatnej na listy. Samiczce było tam tak dobrze, że aż 14 jaj zniosła i siedziała na nich. Gdy skrzynkę otwarto, nastroszyła tylko piórka, lecz gniazda nie porzuciła i szczęśliwie wywiodła w niem młode.

W Göpingen, w Wirtembergu, znaleziono gniazdo kosa *(Turdus merula)* pod okapem dachowym, w zagłębieniu, utworzonem przez ścianę i wskośnie prowadzoną rynnę dachową. Gnieżdżąca się parka schroniła się tam przed kotami, które jej młode w ogrodzie tępiły.

Zdaje się, że w wypadku tym znajdujemy główną odpowiedź na wybór tych wszystkich, tak niezwykłych i oryginalnych miejsc gnieżdżenia. Jest to popęd samozachowawczy, dążenie do ochrony piskląt przed rabunkiem nieprzyjaciół. Ochrony tej szukają prawdopodobnie także ptaszęta, które już przemocy rabusiów na gniazdach swych doświadczyły. Przenoszą one wówczas raczej liczne niedogodności i towarzystwo człowieka, niż narażanie się na niebezpieczeństwo od kotów, kun i innych krwawych nieprzyjaciół.

St.

KORESPONDENCYE.

Kraków d. 25. października.

(Jubileusz Maksymiliana Nowickiego.)

Zapalony, rozkochany w naturze przyrodnik, uczony, który równą miłością ukochał wiedzę jak i kraj rodzinny — obchodził wczoraj, d. 24. października, dwudziesto-pięcioletni jubileusz działalności swojej na stanowisku profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Czy mam wam wymieniać po nazwisku, kto nim jest? Czy tylko te 25 lat profesury uczyniły go zasłużonym w dziedzinie nauk przyrodniczych? Czy literatura polska nie znała go już przedtem, nim zasiadł na katedrze *Almae matris?* Wszakże nie mógłby to być nikt inny, tylko Maksymilian Nowicki, ten sam, który już jako uczeń, marzy tylko o owadach, rybach, ptakach — ten sam, który jako profesor gimnazyalny zapala swych uczniów dla studyów przyrody — ten sam, który jedną ręką pisze dzieła, uderzające niezwykłem ciepłem w traktowaniu spraw przyrody i kraju rodzinnego, a drugą zakłada Towarzystwo rybackie i uwija się po całym kraju, aby spustoszone rybackiemi rozbojami rzeki zasilić nowym zarybkiem.

Zasłużonemu mężowi temu wyprawiono wczoraj, w prześlicznej auli *Colegii Novi*, wspaniałą owacyę. O godz. 12. w południe zebrali się w niej wszyscy profesorowie wydziału filozoficznego, senat akademicki w togach z rektorem dr. Kasparkiem na czele, komitet urządzający uroczystość jubileuszową, liczne deputacye, a mianowicie: deputacya Towarzystwa rolniczego krakowskiego, złożona z prezesa hr. Artura Potockiego, wiceprezesa p. St. Homolacsa i członków komitetu, delegat Tow. gospodarczego lwowskiego br. Gostkowski z Tomic, reprezentant gal. Towarzystwa łowieckiego p. Władysław Zontak, deputacya Towarzystwa rybackiego krakowskiego pod przewodnictwem wiceprezesa Stanisława Kluczyckiego, deputacya Towarzystwa tatrzańskiego pod przywództwem wiceprezesa dr. Władysława Markiewicza, deputacya krakowskiego towarzystwa ochrony zwierząt i inne. Prócz deputacyi zapełniła się sala przyjaciółmi i wielbicielami jubilata oraz kochającą go młodzieżą akademicką. Przybyło także bardzo wiele pań.

Gdy jubilat wprowadzony został na salę, powitały go grzmiące oklaski i kantata, odśpiewana przez chór akademicki pod kierunkiem p. Barabasza. Jubilat zajął miejsce honorowe na estradzie, obok niego z lewej dziekan wydziału filozoficznego prof dr. Janczewski, z prawej przewodniczący komitetu prof. Dr. Wierzejski.

Prof. Wierzejski zabrał głos pierwszy zaznaczając, że jubileusz dr. Nowickiego budzi wielkie zajęcie nietylko wśród młodzieży akademickiej i kolegów jubilata, ale i w szerszych kołach.

Następnie przemówił rektor Uniwersytetu prof. dr. Kasparek. Podniósł on, że dr. Nowicki, objąwszy katedrę na wszechnicy Jagiellońskiej przed 25 laty, zaznaczył w tej ćwierci wieku swoją działalność pracami w dziedzinie umiejętności, za co składamy mu hołd publiczny. Pod dyrekcyą prof. Nowickiego został wzbogacony gabinet zoologiczny i i uporządkowany, stworzony dla niego cały aparat naukowy i biblioteka. Wskazał dalej mowca na liczne prace i wycieczki naukowe jubilata, które rozgłośnem uczyniły jego nazwisko nietylko w kraju ale i za granicą na chwałę polskiego imienia i Uniwersytetu. Ale co najważniejsza, jubilat zdołał wyniki prac swoich naukowych zużytkować w służbie dla kraju, w dziedzinie rolnictwa, rybactwa i tak wybitne zasługi około Uniwersytetu połączył z pracą obywatelską. (Brawo.) Lepiej tę działalność opowiedzą osoby, co są jej świadkami. Mowca w imieniu Uniwersytetu czci męża pełnego hartu woli i charakteru, co nie zeszedł nigdy z drogi obowiązku i niósł zawsze wysoko sztandar nauki, choć żywot jego nie różami ale cierniami był zasiany. Już w pierwszych latach stracił jubilat rodziców, i tem może się chlubić, że własną pracą

dotarł do katedry uniwersyteckiej i tę katedrę z taką chlubą zajmuje.

Mowca zwrócił się następnie do pięknych wspomnień, kiedy jako 10-letni chłopiec w gimnazyum Samborskiem był uczniem jubilata — i jeżeli dziś coś umie, to zawdzięcza to prof. Nowickiemu, który umiał szerzyć zapał i zagrzewać młodzież do nauki, tak, że ona miłość dla swego nauczyciela na całe życie zachowała. Dziś dawny uczeń w imieniu Uniwersytetu składa hołd jubilatowi za te liczne zasługi, hołd wdzięczności. Uniwersytet cieszy się, że jubilata nie żegna i ma niepłonną nadzieję, że rejestrować będzie nadal zasługi jego na polu naukowej i obywatelskiej działalności. Mowca skończył życzeniem, aby jubilat długie jeszcze lata pracował nad wzbogaceniem nauki polskiej, na pożytek młodzieży i sławę Uniwersytetu, którego jest chlubą i ozdobą. (Oklaski.)

W imieniu wydziału filozoficznego Wszechnicy wystąpił dziekan tegoż, prof. dr. J a n c z e w s k i i odczytał adres wystosowany do jubilata, w którym najbliżsi jego koledzy od lat 25, ci, co mieli najlepszą sposobność ocenić zasługi Nowickiego, wyrażają mu gorące uznanie za jego pracę niezmordowaną. Wręczając ten adres, zapewnił dziekan, że wyrazy w nim zawarte dyktowała sama miłość i że adres jest nietylko węzłem starej i stałej przyjaźni, ale hołdem polskiej nauki dla zasług jubilata.

Oświadczenie to przyjęto hucznemi oklaskami.

Z kolei przemówił były uczeń jubilata, prof. Ł o m n i c k i ze Lwowa, w imieniu licznych uczniów dr. Nowickiego. Mowca przypomniał, że przed 25 laty żegnał Nowickiego, gdy Lwów opuszczał. Od tej pory nie zmieniły się uczucia uczniów jubilata, tych uczniów, w których jubilat zasiał ziarna wiedzy i przyświecał im przykładem niezmużonej energii i pracy, pełnej poświęcenia dla kraju. Mowca podniósł wysoko zalety charakteru jubilata, pracę jego wielką, i złożył mu w darze album z fotografiami uczniów, kolegów, wielbicieli i współpracowników, życząc, aby Bóg zachował go w czerstwem zdrowiu przez długie jeszcze lata.

Imieniem krakowskiego Towarzystwa roniczego zabrał głos prezes tegoż, hr. Artur Potocki i rzekł co następuje:

„Wielce szanowny Panie profesorze! Od kolegów w nauce i uczniów otrzymałeś hołd i uznanie za 25 lat pracy na polu wiedzy i nauki. Mnie przypadł miły obowiązek, aby wyrazić najserdeczniejsze podziękowanie i hołd za prace na tem polu, gdzie wiedza i nauka z teoryi przechodzą w życie i przyczyniają się do ekonomicznego rozwoju kraju. Jako zamiłowany w swojej wiedzy przyrodnik, przystąpiłeś do badania kraju i spostrzegłeś, że liczne rzeki, stawy i jeziora kraju nie dają bogactw, jakie nieść powinny. By inaczej było, zacząłeś pracować z wytrwałością bez granic, do której już nie wystarcza miłość przyrody, ale trzeba gorącej miłości kraju.“

Następnie odczytał hr. Potocki pismo komitetu Towarzystwa tej treści:

„Komitet c. k. Towarzystwa rolniczego krakowskiego łączy się w wyrażeniu Wielmożnemu Panu dr. Maksymilianowi Nowickiemu, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, wysokiego uznania — w dniu 25-letniej rocznicy rozpoczęcia zaszczytnej i skutecznej pracy około dobra nauki i kraju. Ze względu zatem na szczególną doniosłość dla gospodarstwa krajowego, świetnych rezultatów, osiągniętych przez Wielmożnego Pana w dziedzinie rybactwa, które zdołałeś podźwignąć z kilkowiekowego zaniedbania i upadku i wyjednać dlań opiekę rządu i kraju, opartą na ustawie krajowej; oraz na ważność dla rolnictwa odkryć Jego na polu entomologii, zdobytych długoletnią, wytrwałą pracą i osobistem poświęceniem, komitet ma zaszczyt ofiarować Wielmożnemu Panu najwyższe odznaczenie, jakiem rozporządza, to jest: dyplom członka honorowego c. k. Towarzystwa rolniczego krakowskiego, uchwalony jednomyślnie na posiedzeniu komitetu w Krakowie dnia 16. października 1888. r.“

Po odczytaniu tego pisma skończył hr. A. Potocki następującemi słowy:

„Do tego wyrazu uznania niech mi wolno będzie dołączyć nie nadzieję, ale przekonanie, że Twoja praca na tem polu przyniesie korzyści dla kraju, a dla Ciebie sławę. Niech cię nam Bóg w długie lata zachowa!“

Wszystkim tym przemówieniom towarzyszyły jak najżywsze oklaski.

W dalszym ciągu składali hołd pracy i wielorakim zasługom profesora imieniem Tow. gospodarczego lwowskiego bar. Gostkowski, Tow. rybackiego krakowskiego pan Kluczycki, Tow. tatrzańskiego pan Markiewicz i pan Gustawicz.

Bar. G o s t k o w s k i rzekł:

„Nauki przyrodzone przodują rozmiarem i ważnością innym gałęziom wiedzy; stopnie, po których kroczą, są wykute z granitu faktów; stoją w związku z życiem bieżącem, tworząc podstawę przemysłu i rolnictwa. Tak przyroda jak i jej studyum, nie zna pojęcia granic; znaczną na tym polu przebyto drogę, ale mety oko ludzkie nie siega!

Ty czcigodny jubilacie stoisz w szeregu mężów, którzy posuwają naukę naprzód; Ty, jak pionier afrykański, zdobywałeś z siekierą w ręku, stopę po stopie i piedź po piedzi — skryte tajniki przyrody i w pocie czoła, w ciemne jej przestwory, wciskałeś promienie światła. Rozgłos prac Twoich przekroczył daleko granice kraju — imię Twe znane jest na kontynencie, a niemniej i na drugiej półkuli.

Zdobyczy naukowych dwa rozróżniamy kierunki: jeden abstrakcyjno teor tyczny, drugi, praktyczny. Tamten ma cel w samym sobie, ten ma czucie z tętnem życia. Wybór Twój Czcigodny Jubilacie padał przeważnie na kierunek ostatni. Zdobyczami Twemi naukowemi, niosłeś pomoc produkcyi krajowej. Tyś wykrył leśnikom i rolnikom ich groźnych, a głęboko ukrytych nieprzyjaciół! Tyś dał popęd rybactwu; tyś dźwigał rozwój i postęp bogactwa krajowego!

W imieniu ziemian wschodniej części kraju, w imieniu Gal. Tow. Gospodarskiego, składam Ci hołd wdzięczności za naukowe dary, które dałeś dla rolnictwa w ofierze. Oby fizyczne siły i czerstwość wieku jak najdłużej dozwoliły Ci nadal pochodnią badacza rozświecać ciemne kierunki wiedzy.“ (Oklaski.)

Wiceprezes Towarzystwa rybackiego p. St. K l u c z y c k i dawszy pogląd na zakres działania i dokonane już prace krajowego Towarzystwa rybackiego, tak dalej mówił:

„Nie dziwcie się szanowni panowie, że będac sam członkiem Towarzystwa rybackiego, wygłaszam chwałę tegoż Towarzystwa, bo krajowe Towarzystwo rybackie w Krakowie — to profesor Dr. Maksymilian Nowicki! (Brawo.) Jeszcze nie istniało Towarzystwo, jeszcze nikt w kraju nie pomyślał był o naszych wodach i rybach, kiedy prof dr. Nowicki nietylko myśl powziął i podniósł, ale sam jeden, własną osobistą pracą i własnemi zasobami już działał. Utworzył Towarzystwo rybackie w nadziei, że pomnoży w tysiące siły i zasoby, któremi da się cel założony *pro bono publico* prędzej i wydatniej osiągnąć. Sam prezesem i sekretarzem, sam autorem i odpisywaczem, sam twórcą pomysłów i ich wykonawcą, często już wątpiący, lecz nigdy zwątpiały — dzień po dniu i rok po roku stąpał aż do tej chwili po dro-

dze obowiązku dobrowolnie podjętego; jednem słowem: krajowe Towarzystwo rybackie w Krakowie — to prof. dr. Maksymilian Nowicki, sam jeden. (Brawo.) To też głośne są zasługi jego nietylko u nas, a śmiało to powiedzieć mogę, że głośniejsze są u obcych, czego dowody, na jego pociechę, niejednokrotnie doszły i dochodzą naszego jubilata.

A że po pracy i trudzie — kończył pan Kluczycki — wypocząć i znużone siły pokrzepić potrzeba, ofiarujemy ci, zacny nasz panie Prezesie, ten puhar — *inter pisces vinum misces* (brawo) — na zdrowie! Niech żyje nasz Jubilat!" (Huczne oklaski.)

Wzruszony do głębi prof. Nowicki dziękował drżącym głosem za tak serdeczną i podniosłą owacyę.

„Spełnienie obowiązków na się wziętych — mówił jubilat — jest prostą powinnością sumienia każdego człowieka, jakiekolwiek zajmującego stanowisko. Świadomość spełnionych rzetelnie obowiązków sprawia wewnętrzne zadowolenie, które samo przez się jest już nagrodą za prace czy naukowe, czy praktyczne, czy obywatelskie. Nagrodą tem wyższą, jeżeli praca wyda pożądane owoce, a najwyższą wtedy, jeżeli za życia doczeka się uznania w szerszych kołach społeczeństwa. Tego uznania doznaje i skromna działalność moja, a to od kół tak szerokich i swojskich i obcych, że w obecnej chwili nie mogę prawie uwierzyć, czy to co widzę i słyszę, nie jest złudzeniem, ale rzeczywistością. To też w dniu tak dla mnie uroczystym składam dzięki przedewszystkiem Opatrzności boskiej, że dożyć tak pamiętnego dnia mi dozwoliła, dalej dzięki wszystkim i każdemu z osobna za wyrażone uczucia życzliwosci i wspaniałe dary."

Tutaj wymienił mowca wszystkich, którym szczególniej zachętę i pomoc w pracach swych zawdzięcza, a mianowicie: senat akademicki i prof. dr. Karlińskiego, hr. Artura Potockiego i cały dwór krzeszowicki, śp. Henryka hr. Wodzickiego, śp. Józefa Konopkę, Stanisława Kluczyckiego i inych.

„Dziękuję dalej — mówił jubilat — i byłym uczniom, że nie zaparli się tego węzła, jaki łączy ucznia z nauczycielem. Tem milsze są mi te życzenia, tem droższe, że wypowiedziane przez usta dawnych współpracowników, dawnych towarzyszy w wycieczkach wszerz i wzdłuż po kraju, przez usta uczniów, z którymi przeżyłem chmurne i pogodne chwile, przy których pomocy niejednej dokonałem pracy. Bodaj i oni mogli powiedzieć kiedyś, że nie żyli daremnie!"

Zwracając się wreszcie do młodzieży, dziękował jej jubilat za najszczersze życzenia i stawia jej siebie jako żywy przykład, że pracą uczciwą i wytrwałością zdobywa się stanowisko i uznanie, a w końcu wyraził życzenie, aby przyszłość krakowskiej *Almae Matris*, którą Opatrzność boska tak widocznie kieruje, była po najdłuższe wieki świetną i szczęśliwą.

Grzmiące oklaski zakończyły tę przemowę, a oraz i uroczystość w auli.

Na ręce p. Stanisława Kluczyckiego złożyły pisma z życzeniami swemi: Wydział krajowy, Gal. Tow. łowieckie we Lwowie, Towarzystwo lasowe we Lwowie, Tow. rybackie w Warszawie, Tow. rybackie austr. w Wiedniu, Towarzystwo ochrony myśliwstwa i rybactwa w Cieszynie, Tow. rybackie morawskie w Bernie (dyplom członka honorowego), Tow. rybackie Prus zachodnich w Gdańsku, uczestnicy konferencyi rybackiej 1884. r. w Dreznie (upominek), rybacy krakowscy (adres), Tow. rybackie wschodnich i zachodnich Prus w Gdańsku, Tow. rybackie czeskie w Kościelcu nad Orlicą, Tow. rybackie w Petersburgu i t. d.

Pismo wystosowane przez Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego brzmi jak następuje:

„Czcigodny Panie! Badanie przyrody, ściśle związane z miłością tej ziemi rodzinnej, która Ci zawsze była tak drogą, — łączenie głębokich studyów zoologicznych z zapobiegliwością, ażeby one wyszły na pożytek kraju w gospodarskim jego rozwoju, — rozmiłowanie się w przyrodzie i dążność, przebijająca się w cennych pracach Twych naukowych i wykładach, ażeby to zamiłowanie wszczepić w młodzież i przywiązać ją tem samem do wszystkiego co swojskie: — oto zasługi, które w szeregu dwudziestu pięciu lat niezmordowanej pracy dla nauki i Ojczyzny położyłeś.

Śród naszych uczonych, nazwisko Twe, Czcigodny Panie, wymieniane będzie pomiędzy pierwszymi, a wdzięczność nie dozwoli narodowi zapomnieć o niem. Najgorętsze atoli uczucie wdzięczności żywić będą dla Ciebie ci wszyscy, dla których najwyższą rozkoszą podpatrywanie natury na gorącym uczynku, zaciekanie się w ten tajemny warsztat przyrody, gdzie wiecznem tworzeniem życie się przejawia.

Około przyrodnika, staje łowiec, zatapiający oko w łono puszcz i pól, rybak, zapuszczający włok w modre tonie wód; im to przyrodnik jest towarzyszem, przewodnikiem, mistrzem. Toż i łowieckie Towarzystwo nasze pospiesza skwapliwie, ażeby na dzień jubileuszowy Twych prac niepospolitych, zanieść Ci wyrazy głębokiej czci i uznania, oraz życzenie, iżby Ci Bóg jeszcze przez długie lata z chlubą dla wiedzy i Ojczyzny pracować i owocami tej zacnej pracy cieszyć się pozwolił."

Inne pisma niemniej serdecznie podnoszą prace naukowe i obywatelskie zasługi prof. Nowickiego.

Wieczorem odbyła się w hotelu „Wiktorya" uczta na cześć Jubilata. Między biesiadnikami, w przeważnej części osobistymi przyjaciółmi jubilata, panowała serdeczna swoboda, a chwilami, przy ważniejszych toastach, podniosły nastrój. Toastowali prezes Majer na cześć jubilata, hr. Artur Potocki na cześć Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii, podnosząc łączność tych instytucyj z żywotnemi interesami społecznemi kraju, prof. Zoll pił na powodzenie Towarzystwa rolniczego, rektor Kasparek hr. Potockiego, X. Pawlicki wydziału filozoficznego, jubilat duchowieństwa, prof. Karliński komitetu jubileuszowego, dr. Wilkosz „kochajmy się".

W ciągu uczty odczytano telegramy, nadesłane przez wielu przyjaciół, byłych uczniów jubilata i wiele rozmaitych instytucyj krajowych, z monarchii i z po za granic monarchii.

Możemy rzec śmiało, że dawno już nie było uroczystości, któraby tak harmonijnie łączyła tych, którzy hołd zasługom i cnocie obywatelskiej oddają, a również rzadką jest postać tak niezmordowanego i zasługującego na hołdy pracownika jak Maksymilian Nowicki. *Z.*

Staresioło d. 10. października.

Dnia 9. października odbyło się polowanie w Starem Siole pod Lwowem. Sam właściciel hr. Roman Potocki kierował temże. Przy znanej wzorowej organizacyi, do której przyczynili się znakomicie pp. Beer i Madejewski, jako wytrawni myśliwi, wzięto od $^1/_2$ do 11. do wieczora miotów 14. W siedm strzelb na 150 strzałów ubito: kozłów 12, lisów 12, zajęcy 40, kunę 1, słonek 13, kuropatw 3. Strzały były trudne, bo liść jeszcze nie opadł i strzelano „na prezurkach".

Wszyscy obecni opuścili knieję pod wpływem najmilszych wrażeń i z błogą nadzieją oglądania jej jak najrychlej.

L. W.

Młyniska 12. października.

Dnia 3. października odbyło się polowanie w lasach majorackich hr. Baworowskich, do Niżborka i Czabarówki należących, w powiecie husiatyńskim. Ubito w 6 strzelb 28 zajęcy, 3 lisy i 1 kozła. Słonek nie widziano, zdaje się, iż mało ich będzie tego roku.

Dnia 8. października w Ściankach nad Seretem, należących do państwa Janów pod Trembowlą, hr. Pauliny Łosiowej, obejmujących obszaru 69 morgów, ubito w 5 strzelb 11 zajęcy, 6 lisów i 2 kozły. Stan zajęcy w porównaniu z przeszłym rokiem niepomyślny. Zauważyć należy, iż panuje w tej okolicy między zającami motylica i z zabitych 11 dwa były nią dotknięte.

Jerzy hr. Dunin-Borkowski.

Laszki zawiązane 18. października.

Dnia 15. b. m. polowaliśmy w rewirze tutejszym, obejmującym 180 morgów, w ośm strzelb. W porównaniu z zeszłym rokiem o tej porze i w podobnych warunkach, można wynik polowania nazwać dobrym. Ubito 5 rogaczy, 7 lisów, 14 zajęcy, 5 słonek. Do wielu zajęcy nie strzelano wcale. Pomiędzy pięciu ubitymi rogaczami jest 3 bardzo ładne myłkusy. *A. Szczepański*, delegat.

Z Cieszanowskiego d. 17. października.

W dobrach Oleszyckich, w pow. tutejszym, należących do ks. Wł. Sapiehy, ubito od 1. listopada 1887. do 1. lipca b. r.: dzików 7, rogaczy 12, zajęcy 33, kuropatw 15, przepiórek 18, chróścieli 10, słonek 12, wilków 4, lisów 25, psów 111, kotów 198, kun 2, łasic 3, jastrzębi 99, wron 276, srok 7.

W poprzednich latach, t. j. od 1. lipca 1882 do 1. lipca 1887 ubito dzików 15, rogaczy 54, zajęcy 290, kuropatw 90, dubelta 1, kszyków 23, przepiórek 117, chróścieli 37, słonek 47, wilków 12, lisów 86, psów 205, kotów 267, kun 17, tchórza 1, łasic 10, orłów 5, jastrzębi 263, wron 290, srok 27. Ogółem za lat 6: 22 dziki, 68 rogaczy, 323 zajęcy, 105 kuropatw, 1 dubelta, 23 kszyków, 135 przepiórek, 47 chróścieli, 59 słonek, 16 wilków, 111 lisów, 316 psów, 465 kotów, 19 kun, 1 tchórza, 13 łasic, 5 orłów, 362 jastrzębi, 566 wron i 34 srok. Koszt ubicia tej zwierzyny wynosił 1.055 zł. 83 ct.

Z.

Lwów d. 23. października 1888.

W ostatnim numerze „Łowca“ umieściłem w odpowiedzi p. J. H. zaproszenie na polowanie do Biłohorszczczy z jamnikiem p. leśniczego B. na lisy i borsuki. Już po wyjściu numeru zdarzył się smutny wypadek, że na polowaniu towarzystwa myśliwskiego miejskiego został ten znakomity pies zastrzelonym, przez jednego z członków towarzystwa, który go wziął za lisa. Wobec tego z przykrością muszę odwołać zaproszenie, a zarazem stwierdzić, że może już nigdy w życiu tak dowodnego pieska nie zobaczę i takiej myśliwskiej emocyi nie doznam.

L. G. Dziubiński.

KRONIKA.

Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego odbył posiedzenia w dniach 8. i 16. października, oba pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, hr. Romana Potockiego.

Na posiedzeniu d. 8. października byli obecni pp.: Glanz, Komorowski, dr. Krater, W. Rieger, dr. Z. Riegier, Simon, Starkel, hr. S. Zamoyski, sekretarz Zontak i referent Wydziału Nigrin.

Uchwalono między innemi:

1) Regulować dalej ważną dla Towarzystwa instytucyę delegatów; osoby, które były na delegatów zaproszone, a dotychczas odpowiedzi nie dały, zawezwać jeszcze raz celem deklarowania się czy delegacyę przyjmują; poczynić stosowne kroki, aby w powiatach bialskim, kossowskim, pilznieńskim, staromiejskim i żywieckim, gdzie Towarzystwo nie ma dotąd swych delegatów, odpowiednie osoby na delegatów zostały zaproszone.

2) Wezwać wszystkich pp. delegatów, aby nadesłali statystyczne wykazy jesienne na przesłanych im formularzach i raczyli obowiązek ten jak najregularniej w przyszłości spełniać, gdyż od tego zawisło wytworzenie ważnej dla gospodarstwa krajowego statystyki łowieckiej.

Na posiedzeniu z dnia 16. października byli obecni pp.: Bohdan, Glanz, Komorowski, W. Rieger, Simon, hr. Szembek, Starkel, sekretarz Zontag i referent Wydziału Nigrin.

Uchwalono między innemi:

1) Uprosić prezesa, hr. Romana Potockiego, ażeby w stósownej chwili zwrócił uwagę sfer, zajmujących się opracowaniem projektu nowej ustawy łowieckiej, iż do ankiety, któraby nad sprawą tą miała obradować, należałoby powołać delegata gal. Towarzystwa łowieckiego.

2) Z uwagi, iż u niektórych członków Towarzystwa zalegają jeszcze dotąd wkładki za r. 1888., do których prawo otrzymywania „Łowca“ za r. b. jest przywiązane, mają na przyszłość wkładki w ten sposób być ściągane, iżby już numer „Łowca“ za m. maj, po czterokrotnem upomnieniu w poprzednich numerach, wysłany bywał zalegającym za pocztowem pobraniem wkładki.

3) Wydać kieszonkowy kalendarzyk „Łowca“, tak, aby już z końcem listopada mógł być w ruch księgarski puszczonym. Kalendarz ten będzie o tyle odmiennym od kalendarzy poprzednich, że oprócz działu łowieckiego i rybackiego, mieścić będzie w sobie także bogaty dział leśny i stanie się przeto cennym podręcznikiem dla każdego leśnika.

4) Wystosowano pismo do prof. dr. Maksymiliana Nowickiego z powodu 25-letniego jubileuszu tegoż na stanowisku profesora uniwersytetu Jagiellońskiego. Pismo to podpisali wszyscy członkowie Wydziału z presesem na czele.

Projekt ustawy łowieckiej, wniesiony przed rokiem do Sejmu przez Wydział krajowy, nie został w ciągu ubiegłej sesyi sejmowej załatwiony, a na nową sesyę już wcale nie wpłynął. Przed rokiem rzecz rozbiła się niejako o stronę formalną. Kiedy bowiem Wydział krajowy zamierzał jedną ustawą objąć wszystkie kwestye prawne łowiectwa, więc stworzyć niejako kodeks łowiecki, ministerstwo rolnictwa obrało drogę odmienną, proponując uzupełnienie lub zmianę obecnie obowiązujących przepisów łowieckich specyalnemi nowelami w ten sposób, jak to się stało co do kwestyi wydzierżawiania prawa polowania na enklawach, nie wynoszących takiego obszaru, na jakim dziś wolno samoistnie wykonywać prawo polowania. Tymczasem droga, wybrana przez nasz Wydział krajowy, znalazła naśladowców, bo także i na Morawie postanowiono osobną ustawą uregulować łowiectwo, jako jeden cały dział gospodarstwa. Podobno oprócz Morawy jeszcze i inne kraje koronne zdają się przechylać na tę stronę, więc dla ministerstwa rol-

nictwa powstała kwestya, czy w interesie rychłego doprowadzenia do skutku ustawodawczego uregulowania łowiectwa nie wypadłoby zgodzić się na tę drugą drogę. Decyzya, jak się dowiadujemy, wypadła podobno w duchu życzeń krajów koronnych; dziś wniesienie projektu ogólnej ustawy łowieckiej nie natrafiłoby już na opór ministerstwa. Przyszłemu sejmowi będzie mógł zatem przedłożonym być już projekt ustawy łowieckiej, obejmującej wszystkie sprawy myśliwskie, a nie poprzestający jedynie na nowelach do ustaw istniejących.. Sprawa ta zasługiwać będzie zatem na baczną uwagę, bo nie chodzi tu o amatorstwo, lecz o podźwignięcie jednej gałęzi gospodarstwa, u nas zaniedbanej, a posiadającej wymogi rozwoju i warunki znacznej intratności.

Rozpatrzeniem całej sprawy postanowił również zająć się Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego, „Łowiec“ zaś otwiera swe szpalty dla dyskusyi nad sprawą reformy naszych przepisów łowieckich, aby zamiłowanym i fachowym myśliwym dać sposobność wynurzenia swych poglądów na uregulowanie łowiectwa w kraju naszym.

Polowania cesarskie. W programie odwiedzin cesarza Wilhelma II. u cesarza Franciszka Józefa, znaczną bardzo rolę odgrywały, jak wiadomo, polowania.

Przedewszystkiem odbyła się dnia 5. października mała wycieczka myśliwska do zwierzyńca w Lainz koło Schönbrunu. Wzięli w niej udział cesarz Wilhelm i arcyksiążę Rudolf. Wyjechali już o 7 rano z Wiednia nie biorąc ze sobą żadnej świty. Przed jednopiętrowym domkiem myśliwskim w Auhof powitał obu dostojnych myśliwych naczelny łowczy, hrabia Abensberg-Traun i leśniczy Edward Paul. Cesarz Wilhelm ubrany był w niemiecki zielony kostium do polowania, arcyksiążę zaś w dalmatyński kostium myśliwski. Obaj wsiedli do otwartego powozu myśliwskiego i pojechali do kniei. Tu słychać było jelenie na rykowiskach, a dzików i kozłów było podostatkiem. W przeciągu pół godziny padł pierwszy strzał z ręki cesarza Wilhelma. Polowanie odbywało się w ten sposób, że przy dostrzeżeniu zwierza myśliwi wyskakiwali szybko z myśliwskiego powozu i strzelali. Rezultat polowania był pomyślny, bo zwierzyna szła gęsto pod strzały. Cesarz Wilhelm ubił cztery jelenie, dwa dziki i jednego daniela.

Tegoż samego dnia po południu nastąpił wyjazd obu cesarzy i licznego orszaku myśliwskiego na polowania do Styryi. Orszak składali: król saski Albert, arcyksiążę Rudolf, książę Leopold bawarski i wielki książę Toskański, generałowie Liebenau i hr. Paar, wielki łowczy hr. Abensberg-Traun, naczelny koniuszy hr. Turn-Taxis, fmp. br. Beck.

Pociąg kolejowy przywiózł całe to świetne grono myśliwskie około godz. 6. wieczorem do stacyi Mürzsteg. Obaj monarchowie udali się ztąd powozami do zameczku myśliwskiego w Neubergu i zostali tam przyjęci przez kierownika dworskich łowów, Pitascha. Po rozgoszczeniu się odbył się obiad na 14 nakryć. Następnego dnia tj. w sobotę d. 6. października o godz $2^1/_2$ rano udali się: cesarz Wilhelm, król Albert saski, arcyksiążęta Rudolf i Ferdynand, W. ks. Toskański, ks. Leopold bawarski i hr. Meran na polowanie podjazdowe. Około godz. 8. powrócił cesarz Wilhelm do zameczku, spożył śniadanie, poczem o godz. 8. udali się obaj cesarze, ks. Leopold i wielu innych z okolicy zaproszonych uczestników łowów na polowanie z nagonką do Schwarzenbach. Prześliczna ta okolica, jedna z najpiękniejszych w cesarskich rewirach w Styryi, przedstawia się uroczo; tego dnia jednakże unosiły się z lasów gęste mgły, zasłaniając widok i cały dzień w ogóle nie sprzyjała pogoda. Wyższe szczyty były nawet śniegiem pokryte. Jakoż, pomimo bogatego stanu zwierzyny, rezultat polowania nie był pomyślnym. Zastrzelili: cesarz Wilhelm 1 grubego zwierza, król Albert 2 jelenie i 2 sztuki grubego zwierza, arcyksiążę Rudolf 1 jelenia, ks. Leopold bawarki 2 jelenie, w. ks. Toskański 1 jelenia, ks. Hohenlohe 3 sztuki grubego zwierza i 1 dziką kozę, hr. Meran 2 jelenie, zaproszeni kawalerowie 4 jelenie, 4 sztuki grubego zwierza, 1 cielę, 1 kozę dziką; razem 12 jeleni, 12 sztuk grubego zwierza, 2 dzikie kozy i 1 cielę. Deszcz, śnieg i wiatr trwały ciągle.

W niedzielę d. 7. b. m. wyruszyli myśliwi już wpół do 3. zrana, obaj monarchowie zaś o 4. na podjazd jeleni. Stanowiska zajęli: cesarz Franciszek Józef na Sengstein, cesarz Wilhelm i król Albert na Nassköhr, książę Leopold na Lachalm. Już o godz. 9. wrócił cesarz Franciszek Józef, koło 10 zaś cesarz Wilhelm z resztą towarzystwa myśliwskiego. Rezultat podjazdu był niepomyślny. Cesarz Wilhelm ubił dwa wielkie jelenie; inni myśliwi nie przyszli do strzału.

Polowaniom cesarzy w Styryi nie sprzyjała w ogóle pogoda. Góry pokryły się całkiem śniegiem a deszcz padał nieustannie. W poniedziałek spadł gęsty śnieg. Mimo to udali się monarchowie o godzinie 10. na polowanie do Lahngraben, gdzie zastrzelono 5 jeleni, 3 dzki i 10 kozic. Cesarz Franciszek Józef ubił kozła, a cesarz Wilhelm 4 kozły. Powrócono z polowania o godz. 5., poczem odbył się obiad dworski, a wieczór oglądano ubitą zwierzynę przy świetle magnezyowem.

Monarchowie, nie zważając na niepogodę, wybrali się także i we wtorek dnia 9. październik a na łowy do Kallenbach, zkąd powrócili około 5. godz. po południu. Wynik polowania był nieszczególny. Cesarz Franciszek Józef ubił kozła i dwie kozice, cesarz Wilhelm i król Albert nie przyszli do strzału, ks. Leopold ubił ośmioletniego jelenia, w ogóle 20 sztuk zwierzyny.

Ostatnia wycieczka myśliwska odbyła się jeszcze we środę rano do Kaargraben, ztamtąd zaś udali się obaj monarchowie na Neuburg do stacyi kolejowej w Mürzzuschlag, gdzie przybyli o $12^1/_2$ w południe. Ztąd, po serdecznem pożegnaniu, udał się cesarz Wilhelm w podróż do Włoch.

Z polowań na niedźwiedzie. Jeszcze w ciągu owych dni, które cesarz Wilhelm przepędzał na łowach w Styryi, udał się następca tronu austryackiego, arcyksiążę Rudolf, do Siedmiogrodu, ażeby tam przyjąć powracającego z Rumunii księcia Walii i zapolować z nim razem w górskich kniejach Görgeny-Szent-Imre na niedźwiedzie. Ks. Walii dnia 7. października wieczorem stanął w Kronsztadzie i udał się bezzwłocznie do stacyi Kocsard, zkąd wspólnie z przybyłym tam arcyksięciem Rudolfem odjechali nocą do Görgeny-Szent-Imre, do znajdującego się tam zamku myśliwskiego arcyksięcia, gdzie po 8-mej godzinie rano stanęli. Zjadłszy śniadanie i przyodziawszy strój myśliwski, udali się obaj dostojni myśliwi już o godzinie w pół do 11 do rewiru Adorjańskiego. Drużynę myśliwską stanowili: arcyksiążęta Frydryk i Otto, książę Miguel Braganza, nadżupan Kemény, ks. Ludwik Esterhazy, towarzyszący ks. Walii pułkownik angielski Wilsen, hrabiowie Stefan Karolyi, Rosenberg, Wurmbrandt i Gabriel Bethlen, baronowie Samuel Jósika, Teodor i Andrzej Bornemissa, Stefan Macskási, lekarz pułkowy Dr. Lányi i malarz Melha.

Łowy pierwszego dnia posuwały się ku kniejom Kasvaerskim. Tropów niedźwiedzich było bardzo mało; na pewne sygnalizowano tylko jednego mysia. Powozami dojechać można było jedynie do Adorjan; tam siadło całe towarzystwo na małe górskie koniki, ażeby się dostać ku przełęczy górskiej. Dopiero po godzinie jazdy mogli myśliwi zająć wyznaczone stanowiska. Polowano z nagonką. Na znak rogu myśliwskiego odezwały się głosy nagonki. Myśliwi nabili strzelby, 16-milimetrówki, kulami. Wydane było hasło, aby nie strzelać do niczego, tylko do niedźwiedzia; przepuszczono też lisy, sarnę, a nawet samurę bez strzału — lecz nadaremnie. Pojawiła się linia nagonki, a niedźwiedzia nie ruszono nigdzie.

Po krótkiej przekąsce i naradzie postanowiono wziąć jeszcze jeden miot wyżej położony. I tu jednak oczekiwania zawiodły; dwa dziki przebiły nagonkę, lecz niedźwiedzia ani śladu. Księcia Walii zachwycały tylko urocze widoki górskie — bo pogoda, przy gorącu na tę porę niezwykłem, sprzyjała bardzo — i malownicze grupy nagonki, po większej części starzy, ogorzali Rumuni, najdziwaczniej uzbrojeni, z rogami myśliwskiemi i innemi łowieckiemi rekwizytami.

Około 5-tej popołudniu zakończono łowy bez skutku. Zdaniem miejscowych myśliwców, niedźwiedzie wyniosły się wyżej w góry, z powodu gorąca i posuchy. Jeden z prowadzących w górę tropów, odnalazł sam arcyksiążę. Ciepło od dłuższego czasu tak niezwykłe panowało, że grusze w sadzie zamkowym zakwitły po raz wtóry.

Nazajutrz, dnia 9. października, wyruszyła drużyna myśliwska o godzinie w pół do 8-mej do gęsto zarośniętej kniei w Patak. Upał był jeszcze większy, dochodził do 22° R., pomimo, iż niebo było po większej części chmurami okryte. Do godziny 5-tej wieczorem wzięto wszystkie cztery mioty kniei Patackiej, lecz bezskutecznie. Wypłoszono jedynie kilka lisów, sarn i wilków, ale nie strzelano do nich wcale. Wieczorem urządzono dla ks. Walii na podwórzu zamkowem uroczystość ludową. Włościanie okoliczni, Wołosi, Sasi, Węgrzy w narodowych strojach, produkowali się swemi narodowemi tańcami przy malowniczem oświetleniu pochodni.

Trzeci dzień polowania powiódł się o tyle, że chociaż ruszono niedźwiedzie. Około godziny 8-mej rano udano się do kniei Alsó-Fancsal, na wysokości 1.300 m. nad poziomem morza, na grzbietach góry Szired. Trzeba było objąć znaczniejszą przestrzeń naraz i użyto przeszło 100 ludzi do nagonki. Mimo to okazała się liczba ta za małą, bo ruszono wprawdzie dwa niedźwiedzie, lecz nie zdołano ich wypędzić na linię strzelców; jeden przebił się przez nagonkę, drugi uszedł w bok. Do mnogiej zwierzyny innej nie strzelano wcale. Ks. Walii oświadczył, że czarujące widoki górskie wynagradzają mu brak wzruszeń przy spotkaniu się oko w oko z niedźwiedziem.

Gdy i czwarty a ostatni dzień polowania (d. 11. z. m.) w rewirze Köhererskim spełzł na niczem, odjechali ks. Walii i arcyks. Rudolf wieczorem na Klausenburg i Budapeszt do Wiednia.

Znacznie więcej niedźwiedzi niż w Görgeny-Szent-Imre sygnalizują w kameralnych lasach Marmaroskich, rezerwowanych na łowy dla arcyksięcia Rudolfa. Zapewniają, że ma ich tam być około pięćdziesiąt.

Na polowaniach w Spale, w księstwie łowickiem, gdzie bawił car Aleksander III. wraz z rodziną przez dziesięć dni z końcem września, zabito: 27 danieli, 13 dzików, 50 sarn, nie licząc drobnej zwierzyny i ptactwa. Organizacyą polowań zajmował się administrator księztwa łowickiego margr. Zygmunt Wielopolski, przy pomocy nadleśnych, podleśnych i leśników, należących do stałej miejscowej służby księstwa łowickiego.

Przy odjeździe postanowił car, żeby rewir myśliwski Spały powiększony został przez oddzierżawienie od skarbu przestrzeni leśnej około 800 morgów, należącej do zarządu dóbr państwowych, a położonej w gubernii piotrkowskiej, oraz ażeby gospodarstwo leśne i na tej przestrzeni powierzone zostało administracyi księstwa łowickiego.

Największemi jeleniami kapitalnemi, jakie w tegorocznych polowaniach na Węgrzech ubite zostały, są: dwudziestodwustak, którego położył hr. Tomasz Nadasdy w lasach Bakony-Stana, i ośmnastak, zastrzelony przez hr. Franciszka Nadasdy w lasach Marmaroskich.

Walka z niedźwiedziem. W Northampton, w Anglii, w t. zw. ogrodzie franklinowskim, który jest parkiem publicznym, odbywał ćwiczenia oddział ochotników i dawał przy tej sposobności liczne salwy. Ogród pomieniony mieści w sobie także rodzaj menażeryi, a między tem klatki z niedźwiedziami. Mysiom nie podobała się żołnierska strzelanina, wpadły więc w nerwowe rozdrażnienie, które się stało powodem smutnego wypadku. Gdy mianowicie dozorca menażeryi, Gotch, wszedł do klatki, ażeby niedźwiedzie nakarmić, największy z mysiów zaszedł zdradziecko z tyłu i jednem uderzeniem łapy powalił go na ziemię, następnie zaś, wziąwszy głowę omdlałego Gotcha między łapy, zabierał się ją gryźć. Krzyk zbiegających się ludzi i wywijanie szablą jednego z żołnierzy odwiodły go wprawdzie od rozszarpywania swej ofiary, zawsze jednak trzymał ją w swym okrutnym uścisku. Nareszcie porucznik Hollis wyrwał jednemu z żołnierzy karabin, nasadził nań bagnet i wszedł do wnętrza klatki. Niedźwiedź widząc to, porzucił ofiarę i zwrócił się ku śmiałkowi. Rozpoczęła się walka jedyna w swoim rodzaju i niebywała, walka łap niedźwiedzich z użytym zręcznie bagnetem. Hollis wymierzał nim ciosy tak zręcznie, że nietylko nie dozwolił niedźwiedziowi zbliżyć się do siebie, lecz srodze poranionego zapędził w koniec klatki. Omdlałego i broczącego krwią Gotcha można więc było wyciągnąć. Zwycięzca, któremu licznie zgromadzona publiczność nie szczędziła oklasków, opuścił klatkę z wszelką swobodą.

Polowania na kaczki w Północnej Ameryce odbywają się w sposób wielce oryginalny. Każdej wiosny i jesieni, w zatokach Atlantyckiego oceanu, wzdłuż wybrzeży północnej Ameryki, zatrzymują się niezmierne gromady dzikich kaczek w przelocie na północ lub z północy. Daje to myśliwemu Nowego świata sposobność do jednego z najmilszych polowań. Potrzebuje on do tego najprzód oryginalnego czółenka a raczej paki, t. zw. *shooting box*, która jest na dwa metry długą, na metr szeroką, a blisko na półtora metra głęboką, nieprzepuszczalną, z dwoma na półtora metra szerokiemi, żaglowem płótnem obitemi ramami, które są do otworu paki na zawiasach przytwierdzone i dadzą się na zewnątrz rozkładać, a służą na to, aby dziwaczny ów statek w równowadze na wodzie utrzymać i uchronić go od zatopienia przez fale. Myśliwy bierze nadto ze sobą pewną ilość sztucznych, czy to z drzewa czy z blachy łudząco naśladowanych i dokładnie pomalowanych kaczek.

Shooting box staje na kotwicy w miejscu zarośniętem wodnemi roślinami, do których kaczki zazwyczaj ściągają; myśliwy siedzi w pace ukryty i puszcza swe blaszane kaczki na wodę. Rzeczywiste kaczki, ciągnąc po nad wodą, widzą, że inne — tj. blaszane — już w dobrem miejscu zapadły, starają się więc do nich przyłączyć. Otóż w chwili, gdy ciągnące kaczki spuszczają się i dotykają wody aby zapaść, wychyla się myśliwy z swej paki i bierze je łatwym strzałem. Jeżeli przelot jest znaczny, siadają kaczki co chwila, i jeden myśliwy w ciągu dnia może ich ubić bardzo wiele. Pomiędzy gatunkami kaczek, które się na tamtejszych wodach pojawiają, cenione są najwyżej t. zw. *Canvassback ducks (Anas valissneria).*

Wystawa ptaków otwartą została w Berlinie. Liczba wystawców wynosi 61, a okazów 2.343 z Niemiec, Czech i Wiednia. Zagranicznych ptaków jest 1.490. Są tam bardzo ładne okazy.

Światło elektryczne znachodzi coraz skuteczniejsze zastósowanie przy łowieniu ryb i innych zwierząt wodnych. Elektryczne wędki, w których umieszczono nad przynętą małe lampeczki, okazały się zabawką nie na wiele przydatną. Powodem niepowodzenia było jednakże tylko to, iż lampka taka za mało daje światła, gdyż dopiero silniejsze światło elektryczne wywiera dziwnie przyciągający wpływ na wszystkie wodne zwierzęta.

Ciekawe w tej mierze doświadczenia czynił niedawno temu *Marine biology commitee* w Liwerpolu. Komitet ów urządził trzydniową wycieczkę wzdłuż wybrzeży Walii, ażeby badać warunki łowienia zwierząt morskich w nocy. Pierwszej nocy zarzucono sieci w zatoce Ramsey. W sieci umieszczono podwodną lampę elektryczną o sile 60 świec i zapuszczono ją do głębokości około $5^1/_2$ metrów; po drugiej stronie zapuszczono inną sieć, również w tej samej głębokości, lecz bez lampy. Po upływie pół godziny wyciągnięto obie sieci i w sieci z lampą znaleziono mnóstwo drobniejszych zwierząt morskich, szczególniej skorupiaków, podczas gdy druga sieć była próżną. Następnie zapuszczono znowu obie sieci, lecz aż na dno, które w głębokości 11 metrów się znajdowało. Skutek był ten sam co pierwej. Następnej nocy czyniono próby w zatoce Port-Erin. Obie sieci oświecono, lecz jedną zatrzymano tuż pod powierzchnią morza, podczas gdy drugą spuszczono aż na dno, do głębokości około 9 metrów. Skutek tym razem był taki, iż po kilkokrotnych doświadczeniach, obie sieci zawsze były zwierzętami morskiemi przepełnione.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak,** ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie